



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z CYKLU: PIEŚNI I SKARGI.

Na perłowych świtań zorzę
Moją tęskną duszę złożę...
Tęsknych myśli zamknę przedzę
W moich skarg i pieśni księdzie...

Gdy cię kiedy zbudzą zorze,
To zateśkniesz za mną może...
Gdy się z pieśnią spotkasz moją
Jej gorycze Cię napoją.

Po moich drogach cisza chodzi
I wielkich tęsknot głuche łkanie...
Nic mi już duszy nie odmłodzi
I żadne słońce mi nie wstanie...

Kiedy mych wspomnień popielisko
Zgaśnie—wiem—nic go nie rozżarzy
Lecz dziś—ja widzę ciebie blisko
I czuję oddech twój na twarzy...

I z oczu twoich patrzy słodkość
I obejmuję cię w ramiona
I pieszczę w snach twych kształtów wiotkość
Choć wiem, żeś dla mnie już stracona!

Byłem u stóp twych kornie zgięty,
Potem musiałem odejść cichy...
Przed ucztą los mi niepojęty
Roztrząsał czary i kielichy...

Więc powierzyłem siebie fali
I już nie czekam dzisiaj na nic...
Czasem się tylko serce żali
I smutno, smutno mi bez granic..

Wiem, że i własna moja chwiejność
Na tę nieszczęsną padła szalę,
Co przeważało.. Beznadziejność
W niemęzką dzisiaj lże kryształę.

Placzę, choć taka już konieczność
I wola moja jej nie zmieni—
Wiośnianych marzeń mych serdeczność
Powleka chmurnej kir jesieni...

Nienawiść piersi mi nie targa,
Choć nie znalazłem tych ukojeń,
Od których szeptu milknie skarga,
A serce rzeka się swych rojeń...

Mam za to w duszy żal beze dna
I ciche w piersi rozelkanie...
Ach, ty je pojdziesz tylko jedna
I nie potępisz jedna za nie!

Zdzisław Dębicki.

Piotr Głmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

Co do zadań krytyki, Mochnacki załatwia się najprzód krótko z dawniejszą formalistyczną jej formą, nazywając ją „kłamliwą wyrocznią literacką, która bez mała nie przyniosła zginienia naszemu piśmiennictwu? Cóż ona robiła? Oto prawiła do uprzykrzenia o guście, a w niej samej pełno niesmaku było. Roztrząsała skrupulatnie małe przywary, małe zalety wielbiła. W sądzie o rzeczach naukowych nie dostawało jej gruntowności; w ocenie rzeczy poetyckich i kunsztownych — uczucia tego wszystkiego, co jest prawdziwe, piękne, wzniosłe; w pochwałach — entuzjazmu zesłanego z nieba na ziemię ku czci znamienitych talentów; w naganie — przyzwolonej skromności i pobłażania. Nie uczyła, lecz zawstydziała... Najbardziej zaś o to ją winujemy, że nie zgadując ducha i nigdy nie wnikając w całość, z szczegółów, z pojedyńkowych drobnostek wartość dzieł szacowała... Krytyka literacka nie była umiejętnością, na pewnych zasadach wspartą, którejby znajomość, tak jak wszelkich innych nauk, długiego ćwiczenia się i pilnych starań wymagała, ale ponieważ z natury nadanym przywilejem, każdemu wstępującemu w zawód piśmienniczy na ogłaszanie zdań dowolnych, upodobanych."

Nie potrzebuję rozbiierać tej oceny krytyki pseudo-klasycznej; dodam tylko, że niektóre je-

no rysy są w niej trafne. Ważniejszą jest rzeczą poznać zdanie Mochnackiego o krytyce nowej, jako „umiejętności.“ Opiera ją on na estetyce, jako na filozofii sztuki. Przyznaje, że istota piękna jest niezbadana, ale że główną jego zasadą jest „ruch;“ istoty uczuć wywołanych przez piękno nie możemy wprawdzie przeniknąć, tylko „opisać i oznaczyć ich rozliczne modyfikacje, zmiany i stopnie;“ zrażać to nas jednak nie powinno, gdyż „niepewność“ znajduje się na początku „ledwo nie wszystkich wiadomości naszych;“ zaleca więc „pokorę rozumu,“ gdyż „szukając prawdy, grzeszymy nieraz zuchwałością rozumienia wszystkiego.“ Tymczasem „wszystko co jest piękne, wzniosłe, straszne i wielkością swoją przerażające w naturze fizycznej i moralnej zasłona tajemnicy na wieki pokryła. We względnie estetycznym przyrodzeniu ledwo nie z samych składa się hieroglifów i zagadek. Tajemniczość ta przysparza wdzięku piękności i może jest jedyną przyczyną rozlaności w niej powabu... Estetyka, mówiąc słowy Jean Paula, jest transcendentalną i niby matematyczną dźwięku teorią, która tony lutni poetyckiej na pierwiastki rozkłada, toż je wyraża liczbami znakami i oznacza stosunki między nimi zachodzące. Estetyka staje się *krytyką*, „kiedy roztrząsa płody kunsztownego dowcipu według prawideł teoretycznych.“ zatem krytyka jest estetyką zastosowaną. „Kto pierwsi nie zgłębi i myśli nie pojmie filozoficznej teorii kunsztu, ten umiejętnym krytykiem płodów cudzego dowcipu być nie może.“ Nie znaczy to jednak, iżby teoria ta podawała *przepisy* tworzenia. „W dzisiejszym wieku nie masz poetyki, ponieważ poezja jest natchnienia sprawą i emanacją ducha... Teoria podaje pod rozwagę naszą zewnętrzne tylko formy sztuki, ukazuje plac, toż niejako pracownię, warsztat i narzędzia ducha, zakreśla rozliczne sfery i granice, wewnątrz których ten duch działa; lecz samej rzeczy kunsztownego procesu, zależącej na naśladowaniu natury jako siły produkcyjnej, na wyobrażeniu życia i ruchu w widomych postaciach i kształtach, nikogo nauczyć nie może.“

W określeniu powołania krytyka, Mochnacki preczował o wiele późniejszą teorię Hipolita Taine'a, który zresztą przetwarzał w sposób ściśle naukowy pogląd Wilhelma Schlegla. Według Mochnackiego „wyrozumieć, zgłębić, w tworze bądź poetyckim, bądź malarskim, bądź muzycznym szczególniejszą dyspozycję i przemożność artysty; okazać, jak myśli, jak czuje i co ma do siebie właściwego; rozważyć pilnie jego sposoby i sprawność naśladowczą; nakoniec przyrównać treść i osnowę dzieła do prawdziwych w naturze wzorów i wydarzeń społecznych: oto są trudne, ale zaszczytne krytyka obowiązki... Nie tak, jak się nam zdaje, nie tak, jak się zdaje przyjaciółom naszym lub jakiegokolwiek koteryi literackiej; ale tak jak sam autor rozumiał, według jego wyobrażeń i uczuć, z jego stanowiska sądźmy, oceniamy pracę, którą na widok publiczny wydaje.“ A co do właściwości moralnych, nie złość, nie uszczypliwość, ale „szczerota dobrego serca“ i entuzjazm dla piękna powinny kierować krytykiem, co „przenikniony zapalem, częstokroć postrzega piękności, o których duch poety, sztukmistrza, w twórczym momencie, żadnej nie miał wiedzy.“

Jak z powyższego widać, Mochnacki w tej drugiej dobie zawodu krytycznego, nadał większą określoność swoim porywom metafizyczno-estetycznym, nie gardził, jak dawniej, duchem czasu i stosunkami towarzyskimi, odtwarzanymi w poezyi, i chociaż mówił o nieskończoności, przybierającej w artyzmie formy skończone, nie radził gonić za „napowietrznymi ideałami.“ Stale jednak utrzymywał, że bez metafizyki żaden estetyk i krytyk, żaden myśliciel prawdziwy obejść się nie może. Nie przestawał więc twierdzić, że Jan Sniadecki, powstając na metafizykę, wicherzył tylko i mącił naukę „nigdy niewysłowionego mędrca królewieckiego, o której krąweń narażoną zaledwie otarł się.“ Nie przestawał upominać, żeby tego przesądu przeciwko metafizyce, jako szkodliwego nauce, pozbyć się. Nie przestawał narzekać, że u nas naprawdę nie

było najazdu ze strony filozofii niemieckiej, sposobiono się przeciw do odporu, budowano warowne zamki i twierdze. Nie zbywało—powiada—i na ochocie ostrzeżenia granicznej między dla tem większego bezpieczeństwa, aby zaraza umysłowa zkadinał nie zaleciała... Te rady dzielnie skutkowały... Ledwo nie każdy żak i żaczek miał u siebie za wielką prawosć a obywatelską cnotę, obruszać się i oburzać przeciwko temu, czego się nie nauczył, co przenosiło jego pojętność, wyobrażenia i szczupły zapas wiadomości. Po czytywano nawet za zaszczyt i chwałę nie dać się zwieść z statecznego przedsięwzięcia *nieumienia* zbyt wiele, niezapuszczania się w głębsze roztrząsanie lub pojmowanie rzeczy ogólniejsze i rozleglejsze; słowem, postanowiono spaniały myśl: *niepoznania nigdy tego, co dotąd nie było znajome*... Nie mędrkujemy, nie rozumiemy, nie filozofujemy, za nie miejmy to wszystko, o czem nas zmysły nie przeświadczały, czego doświadczenie nie stwierdza:—otoż cała systema naszych empiryków i realistów, naszych stylistów i gramatyków... Kto poznałszy ojczyste dzieje, zastanawiał się nad charakterem Polaków, znał to dobrze do nich, że od zapadłych czasów sławni z męstwa, szczerości i roztropnego we wszystkim umiarkowania... nigdy, w żadnej dobie swego bytu, nie byli, jak Niemcy, ludem z przyrodzenia skłonny do metafizyki i spekulacji nadzmysłowych. Myśl nasza, jak u wszystkich w ogólności Słowian, nigdy nie unosiła się do ostatecznych kończyn owego napowietrznego przestworu tak zapamiętałe, żeby aż gwałt czynić należało hamowaniem i powściągnięciem... Oderwane wyobrażenia, mylne czy prawdziwe, krzywe czy proste, ogólnością swoją bezwzględna krzepią i posilają umysł, nadają mu pewną gruntowność, pewną głębokość, pewną łatwość w przenikaniu do pierwszych początków i przyczyn rzeczy. A chociażby nawet wiecznie zatajona i ukryta przed nami miały być owe pierwsze przyczyny (o czem jednak wątpić potrzeba), już sama usilność osiągnięcia tak odległego celu, samo pasowanie się i zwyciężanie trudności spotykanych na tej drodze, dziwnie pomagają do prędszego rozwinięcia władz i sił umysłowych, czynią je zwinniejszymi, sprężystymi... Wszystko prawie, co za naszej pamięci zdziałano znamienitszego... zdziałane zostało w skutku *zarazy umysłowej*... już jest *zbocheniem z toru*, *zbocheniem od zasady nieumienia zawiele*...“

Doradzając miarę i w tem podniosłem dążeniu, gorąco i dzielnie zagrzewał Mochnacki do postępu, a te jego odezwy bardziej zapewne pobudzająco działały na umysł, niż jego wywody teoretyczne, nie dla każdego przystępne. „Przebiegając rozmaite koleje publicznego u nas oświecenia—wołał—postrzeżemy skutki dyktatury w myśleniu i pisaniu tych magów literackich, tych mędrców nadętych, a wewnątrz czczych jak powietrzna bańka, mimo wszelkich zasług, jakie wreszcie położyć mogli w ojczystej literaturze. Wiek nasz olbrzymim krokiem naprzód postępuje. Ludzie u oświeconych narodów myślą, rozumują, ćwiczą swój rozum, łamią przeszkody, nowe torują drogi, zarosłe skrzętnie wypielają z chwastów i niepożytecznych ziół, wynajdują sposoby i środki, nie przestając na dawnem. Myż tylko, my od natury tak hojnie uposażeni, w niczem nieupodlegnieni, mamy obyczajem bobrów i żółwiów rządzić się w naukowym świecie naszym podawnemu, za przykładem pocziwych wprawdzie mistrzów naszych, ale których umysł albo przytępiony zestarzałymi nałogami w myśleniu, albo że tak powiem, okopcony wonią kadzideł literackich, już nie jest zdolny otrząsnąć się z uprzedzeń i nawyków wyśmianych albo potępionych w obliczu prawdziwej filozofii. Pierwszą zasadą naszych usiłowań naukowych niechaj będzie maksyma: nie gardźmy i nie pomiatajmy zuchwale tem, czego nie pojmujemy, ale starajmy się poznać wprzód, poznałszy rozważyć, a następnie dopiero przyjąć lub odrzucić. Kto inaczej mniema, ten źle życzy swemu narodowi.“

W rozpowszechnieniu pojęć o sztuce ze stanowiska estetyki niemieckiej, dopomagał Mochnackiemu w „Gazecie Polskiej“ Jan Ludwik Żuko-

wski, dziś zupełnie zapomniany, a w swoim czasie bardzo ceniony dla swych przymiotów osobistych i niezwyklej nauki. Podlasić, cichy, potulny, zajmował się gorliwie zbieraniem pieśni ludowych nad Pilicą, wygotował rzecz o „Pańszczyźnie w Polsce,“ drukowaną dopiero w roku 1830. Pisał ciężko, zawile, abstrakcyjnie, czyli jak to po przyjacielsku objaśniał Mochnacki, nie pisał „dla leniwych umysłów, co prócz francuskich romansów, modnych żurnalów, afiszów i obwieszeń na rogach ulic przybijanych, nie innego nie czytają i pożywniejszej nie szukają strawy.“ W „Gazecie Polskiej“ Żukowski umieścił między innemi obszerną rozprawę „O sztuce“ 1828, N. 98—102). W pierwszej części wypowiedział tu zdania zgodne z poglądami Mochnackiego, lubo niezależnie od niego wyrobione; w niektórych tylko różnił się, poczytując np. twory sztuki za wyższe od tworów przyrody. W określeniu sztuki znajdował się na dawniejszym stanowisku Mochnacki, kiedy ten gardził zewnętrznąścią i stosunkami towarzyskimi. Oto słowa Żukowskiego: „Umysłowienie myśli w słowno wykończonej całości, wystawiającej prosty lub złożony zmysłowy obraz, ożywiony pięknością, jest przedmiotem sztuk estetycznych... Sztuka estetyczna wystawia obraz umysłu działającego wewnątrz, *bezwzględnie na byt i świat zewnętrzny*, i ztąd zostaje w bezpośrednim związku z duszą, jak jej odbicie się na tle zmysłowem, które *to tło a nawet same formy są w tej mierze niczem* i odbicie podobne nie traci związku z swem źródłem, jak promienie słońca odbijając się o rozmaite powierzchnie ciał.“

Te i tym podobne zdania, a zwłaszcza ich zawile wyrażenia sprawiły, że wśród niewiele myślącego ogółu o mało nie odsądzono autora od zdrowego rozsądku. Ujął się za nim Mochnacki, szeroko się rozwodząc nad zbijaniem dwu rozpowszechnionych u nas maksym: 1) że co niezrozumiałe, to nie jest godne poznania i 2) że w rzeczach sztuki każdy bez przygotowania może być sędzią. Pierwszą z tych maksym uważa za rodzaj komory celnej, na myśli i pisma postanowionej, albo za system zakazowy, tamujący wolny obieg jednych i drugich. „Śmieszność i satyra otóż stróż i dozorca tego systemu“, które złaże się być wynalezione dla rozpostarcia zarodków trętości i stagnacji umysłowej w wywijającej się z pieluch niemowlęstwa literaturze naszej.“ Wymaga więc Mochnacki od czytelników, ażeby się zaopatrzyli w zapas wiadomości, by mózdz podążyć za autorem, by nie byli tylko ciągle uczniami, lecz zarazem sędziami i krytykami dzieła, które czytają. Wśród zatechłej atmosfery trzeba nowatorów, co by nadzwyczajnymi poglądami przerwali sen mialich umysłów. „Paradoksa i nadzwyczajne myśli bywają najczęściej niebezpieczne. Ale tonący i brzytwy się chwyta; a podobno żeglarz nigdy nie żałował tego, że wybrnąwszy z morskiej topieli, na przepaścistej, odludnej i nieżywej opoce choć chwilowego dopadł schronienia. Te paradoksa i nadzwyczajne myśli oburzają; jaki taki zerwie się do wykrycia piórem w żółci maczanem, ich omyślności. Upór i miłość własna obstają przy swoim. Tym sposobem ściarac się muszą zdania. Polemika roznieca ostatnią isierkę życia, rzeźwi literaturę, posila i krzepi, dopóki poważna a roztropna myśl jako piękny płomień nie pociągnie ku górze. Co skoro nastąpi, wszystko pójdzie swoim porządkiem.“

Słowa te pisał Mochnacki w przeddzień niejako wielkiego wybuchu polemiki, wywołanej w r. 1826 ukazaniem się Przemowy Mickiewicza do krytyków i recenzentów warszawskich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

*) „Systema,“ według pochodzenia, jest rodzaju ni-jakiego; tak u nas powszechnie przed r. 1830 mówiono.

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XVIII.

A jednak?

Pomimo przebytych wzruszeń pan Hipolit spał jak kamień. Obudził się, nie pamiętając o snach żadnych. Musiały jednak jakieś marzenia po sennym płatać się mózgu, bo pierś nieraz pracowała ciężko, oddychał z trudem, czasem krzyknął stłumionym głosem... i budził się gorącym potem oblany. Lecz usypiał natychmiast, by znowu walkę staczać z widziadłami jakimiś, i charkotaniem dławiącej się krtani zakłócać ciszą nocą spokojnej.

Nawiedzały go więc sny ciężkie, lecz nie nie pamiętał o nich.

Zbudziwszy się, powiódł oczyma po ścianach swojego pokoju i wpadł w zamyślenie.

Snem mu wydawał się dzień wczorajszy...

Przypominał sobie słowa Sochackiej, zbudzenie się uczuć, postanowienie nagle, rozmowę z matką, pusty dom Hajczyński, nawoływania i krzyki ludzi, ryk pana Ryby, dawne przecucia panny Matyldy, jej śmierć straszną, targający nerwy widok topielicy, omdlenia pani Brygitty, powrót, widzenie się z matką, jej radość okropną i śmiech, który przez zakręty kurytarza do uszu mu wleciał, cały dramat rozpacz i podłości—przypominał to wszystko... i włosy mu się zjeżyły, a świat się wydał ściemieniem brudów i kłamstw.

— Ohydna ziemia—ohydni ludzie!... — szepnął.

Rzadko jednak zwracał się myślą do Hajczyńców. Odczuwał cierpienie państwa Rybów, wiedział jak kochali pannę Matyldę i że nie prędko bolesnej zapomną straty—lecz on w tej boleści i żalu tak mały udział bierze, że nawet pewną przykrość to mu sprawia. Wie tylko, że w jego życiu coś się przełamało straszliwie, że on się rozbił okropnie o serce—matki!

Wstrząsł się—palce o palce otarł, jakby brud jakiś z nich chciał zrzucić.

Wyszedł przed dom.

Z poza różowych mgieł poranek wykwitał... Na wschodzie rozlewało się złoto, a wyżej krwawy fiolet obłoków, a nad nim kryształ błękitów ciemnym szafirem spływał ku środkowi nieba... Wtem buchnął ogromny snop promieni—fiolety się ozłociły, kryształ wysrebrzał, szafir się w opał przemienił...

Zeszło słońce.

Pan Hipolit na słońce to spojrział.

— Po co ty wstajesz? jakim ty czynem przyświecasz?—szepnął.

— Dzień dobry panu dziedzicowi, — odezwał się tuż za nim głos Sochackiego.

Grudowski obrócił się szybko.

— A—to pan, panie Sochacki!...

Uśmiechnął się i dłoń starego uściśnął.

— Czy słyszałeś pan o wypadku w Hajczyńcach?—spytał.

Sochacki się trochę zdziwił, nie widząc w twarzy pana Hipolita spodziewanego przynębienia.

Poruszył głową.

— Słyszałem, kochany panie—słyszałem.

— Biedny pan Ryba... Więcej się o niego obawiam, niż o panią Brygittę,—rzekł Hipolit.

— Straszny wypadek, kochany panie, straszny wypadek!

— Czy to tylko wypadek!—odezwał się Grudowski.

— Przecie nie... nie samobójstwo?—spytał Sochacki.

— Być może i samobójstwo, spowodowane umysłowym rozstrojem. Panna Matylda od pewnego czasu zdradzała jakiś stan nienormalny. Zauważyłem sam to nawet, lecz wielkiej do tego nie przywiązywałem wagi. Dziwactwem mi się wydawało jej szczególne jakieś upodobanie w młynie. W ostatnich czasach była bardzo apatyczna, niespędzony niczem sen ciążył na jej powiekach... W wigilję dnia wypadku dostała łagodnego obłędu... nazajutrz wymknęła się niepostrzeżona do Zaleszczyńca i — pociągnięta szmerem kół młyńskich, który ją zawsze w dziwny stan jakiegoś podbudzenia wprowadzał, albo osunęła się, chcąc zejść w dół po prostopadłej prawie skale, albo—oszołomiona wirami kotłujących się fal, w przystępie szału jakiegoś—runęła w przepaść... Przypuszczam to ostatnie—bezwiedne samobójstwo.

— Nie wiedziałem nic o tem, kochany panie, nie wiedziałem, że umysł jej był trącony.

— Mówił mi pan Ryba, że w ich rodzinie było już parę wypadków obłąkania.

— Straszne rzeczy, straszne rzeczy,—powtórzył Sochacki.

Nie spodziewał się ujrzeć tyle spokoju w panu Hipolicie.

— Jakże się ma dziatwa?—spytał Grudowski.

— Już hałasuje w ogródku, — odpowiedział pan January.

— A, bobaki! muszę im dzień dobry powiedzieć.

Skierował się na folwark—Sochacki miał iść w pole.

— Chodź pan ze mną,—rzekł Grudowski.

Dziatwa bawiła się w ogródku, biegała, to przysiadła co chwila do ziemi, zbierając patyczki i drobne odłamki kamyków, z których następnie jakieś gospodarskie budynki stawiała. Jasne włoski koloru lnu złociły się w promieniach słońca, które majestatycznie wznosiło się nad globem ziemskim. Ciepły, porankowy wiatr przebiegał z pól dalekich i wiał technieniem rozkosznej, precudnej wiosny. Na listkach wiotkich rozkwitających gruszy i jabłoni brylantowała się rosa, w powietrzu kołowały jaskółki, raz wraz przylatując do gniazd swoich, przynosząc w dziobkach to słonek gdzieś znalezioną, to grudkę ziemi wilgotnej, jako materyał budulcowy. Gromadka wróbli pierzchała co chwila, śmielsze kręciły się koło dzieci i zatrzymując się tuż przy nich, przypatrywały się im ciekawie.

Na przyźbie koło domu, w czepeczku śnieżnej białości, siedziała pani Sochacka z książką do nabożeństwa w ręku; padał na nią pełny blask słońca, a ona, zatopiona w modlitwie, nie czuła jego jarzących promieni, nie zauważyła wejścia męża i dziedzica.

Nie chcąc przeszkadzać staruszce w tej cichej rozmowie z Bogiem, Grudowski zatrzymał się o kroków parę i patrzył na nią, na dzieci i na słońce... Łagodny powiew wiatru wypełniał jego pierś, promienie coraz bielsze i cieplejsze były, wznagał się świegot ptactwa, śmiechy dzieci, brylanty iskrzyły się coraz bardziej.

— Dobrze słońce!—szepnął Hipolit,—wiem, po co wschodzisz i komu przyświecasz.

Pani Sochacka skończyła się modlić.

— A, pan dziedzic!—rzekła.

Podniosła się, podeszła i z niebywałą dotąd powagą wyciągnęła rękę do pana Hipolita.

— Niespodziewała się pani tak wczesnego gościa,—zaśmiał się Grudowski.

— Nie... nie... ale — —

Dziwnie jakoś spojrziała mu w oczy.

— Ujek! ujek!—zawołały dzieci.

Zerwały się wraz z pierzchającymi wróblami i przybiegły do pana Hipolita.

Grudowski wziął oboje na ręce i wycalaował serdecznie.

— Co budujecie, maciopy!

— Diomek, paćś... Chodź, ujek, paćś!...

— Bawcie się, bobaki—ja z dziadkiem i babcią przyglądać się wam będę.

Dzieci wróciły do zajęć swoich, Grudowski usiadł na przyźbie koło pani Sochackiej. Stary znowu się skierował do wyjścia.

— A gdzież to pan uciekasz i nas tak samych zostawiasz? Przecież to drugi dzień świąt, roboty niema.

— Prawda, kochany panie, ale pszenica taka ładna, że coś ciągnie, aby popatrzeć na nią.

— Pójdziemy razem, a teraz zostań pan z nami,—rzekł Grudowski.—Gospoia jak widzę, szykuje nam kawę, prawda?

— I zaraz krzesło panu dziedzicowi wyniosę.

— O nie, nie, — zaprotestował Grudowski.—Krzesło,—może poduszka pod plecy a stół pod nogi?... Wszakby urok wtedy nasza sielanka straciła,—i nie tak by mi smakowała doskonała zawsze kawa pani...

Sochacka spojrziała znowu na pana Hipolita, widocznie chciała zapytać o coś, ale powstrzymała ją znaczące mrugnienie męża.

Kawa była wyborna, nie w nowoczesnych masynekach, lecz w staroświeckim imbryku przyrządzona, tłuste kożuszki na cał prawie grubości pokrywały wysmienitą śmietankę, w małych garnuszekkach podana, a bułka domowego pieczywa i masło świeże wznagało apetyt...

— Smyki, na kawę!

— Działki, bułeczka z masłem!

— Chodźcie, bobaki, zgarnąłem wam cały kożuszek!—dodał Hipolit.

— Ziara, ziara,—odpowiadały dzieci na wołanie dziadka, zachętę babci i nęcące słowa pana Hipolita.

Ruchliwa i wesoła zawsze pani Sochacka, dziś jak gdyby skrepowana się czuła. Zauważył to i Grudowski, lecz nie od razu pojął przyczynę tego usposobienia, dopiero, gdy raz i drugi, w pół słowa pytał jakichś urwała na znak dany przez męża—uśmiechnął się i rzekł:

— Pani coś mówić chciała,—właściwie, zapytać się o coś?

— Tak, panie dziedzicu—ale...

— Ja wiem i powiem pani...

— Może to panu przykrość zrobi...

— Basieczko! Basieczko!—mruknął Sochacki, ale Grudowski mówić zaczął:

— Trochę panią dziwi mój spokój, wesołość nawet — —

— Tak,—szepnęła staruszka.

— O spokoju zaraz powiem, a do pewnej wesołości pobudza mnie zawsze widok... tej dziatwy. Bywałem w Hajczyńcach,—wiele było powodów do mniemania, że się starałem o rękę panny Matyldy. Tak—myślałem o tem, zabijała mnie samotność, i dlatego tylko chciałem wypełnić pustkę w moim domu. Życie moje było bardzo smutne, smutne z powodu swojej bezbarwności—i—coś jeszcze przyczyniło się do tego, lecz to już musi nazawsze moją tajemnicą pozostać. Nie kochałem nigdy, a i mnie tak bardzo nikt nie kochał. Czułem zawsze samotność, zimno i opuszczenie... To może znużyć... Uwierzyłem w kłątę losu. Wspominałem niegdyś państwu, że panna Matylda podobala mi się; wiecie nawet o zerwaniu z domem Hajczyńskim, i dlaczego to zerwanie nastąpiło. Po latach kilku zatarło się wszystko, żadnych nie zostało wspomnień nawet. Nie czułem żalu do ludzi, mało tylko zacząłem cenić ludzi. Mijały lata, w duszy mej pustka rosła i smutek... Później—spotkaliśmy się znowu z panną Rybianką—i—przywiązałem się do niej odrobinę. Nie miłość to jednak była, tylko gwałtowna potrzeba duszy—mieć duszę drugą. Wspomnienie jednak powodów zerwania dawnego z nią stosunku najsilniejszemu uczuciu nie pozwalało już się rozwinąć. Wahałem się ciągle a pustka wciąż rosła i rosła. Wreszcie słowa pani, wypowiedziane wczora, zmusiły mnie do stanowczego kroku. Nie o wielkim szczęściu, nie o gorącej miłości marzyłem, lecz o cichem, spokojnym życiu—o drugiej duszy, jak rzekłem przed chwilą. „Będę miał dzieci i one wynagrodzą wszystko.“ Tak myślałem—i—oto, zakończenie już wiadome. Nieszczęście, jakie spotkało państwa Rybostwa, odczułem, jak każde nieszczęście,—gdy dzieci tracą rodziców, rodzice dzieci... Ja—mało traciłem... i dlatego jestem takim, jakim byłem zawsze: spokojny, smutny, nie wierzący już tylko zupełnie w szczęście osobiste.

Umilkł.—Sochacka odezwała się, patrząc na pana Hipolita:

— Złe pan mówi, złe!

W tej chwili koło dzieci przeleciał motyl—zerwały się i gonić go zaczęły z krzykiem:

— Ujek, lapaj!

Pan Hipolit się uśmiechnął, a Sochacka potworzyła:

— Złe pan mówi, złe!

— Masz pani słuszość, — odezwał się nagle z pewnem ożywieniem Grudowski... — Poznałem was i pokochałem serdecznie, tak—serdecznie! Nie rozstaniemy się nigdy, wy będziecie mojem dobrem, moim spokojem, moją—rodziną. Dzieci wasze ukocham, jak własne, i wy mnie nie odrzucicie... Nie krwią, lecz duchem jesteśmy spokrewnieni. I dość mi będzie być z wami i żyć z wami!

Pochylił się do ręki pani Sochackiej, uściśnął mocno i gorący pocałunek położył.

Oboje starszankowie nie wiedzieli, co zrobić, co odpowiedzieć na ten nagły wylew uczucia. Sochacki tylko spojrzał uważnie na Grudowskiego i szepnął:

— A matka?

A gdy pan Hipolit milczał, dodał:

— A brat?

Gdy odpowiedzi nie było, obrócił twarz ku słońcu, które jasnymi błyskami odbiło się w lach, spadających po twarzy pana Januaryego.

Sochacka całowała Hipolita. Drżały jej usta, drżały ręce, a pierś podnosiła się łkaniem cichym.

— Gdy ciężko mi będzie, przyjdę do was; gdy źle mi będzie, przyjdę do was. Czy zgadzacie się państwo?

— I o cóż to pan pyta?—odezwała się Sochacka.—Przecie my pana jak syna kochamy.

— Nie wszystkie matki kochają swych synów,—odpowiedział Hipolit. — Ach! — zawołał nagle, widząc załzawione oczy starszanków,—wyplakaliście się państwo przeze mnie,—ale to nic, teraz lepiej jest nam wszystkim, a mnie—zupełnie dobrze! Prześliczny dzień, przepyszna kawa i tych dwoje błazenków, rozkoszne swe ciała rozciągające na trawie zielonej... Władek! Staś! chodźcie tutaj—ujek was pokocha...

Ale dziatwa nie słuchała, tarzając się po murawie.

— Czy nie słyszycie, smyki?—krzyknął Sochacki.—Dam ja wam! — i zaczął tupać nogami, jakby się do pogoni gotował.

Dzieci się zerwały i w nogi.

— Nie uciekniecie, złapię was! — zawołał pan Hipolit

Dopędził, wziął na ręce rozbrykane chłopięta, w szyjki całował, że aż zanosili się od śmiechu i zaczął przechadzać się z nimi po malutkim ogródku Sochackich.

— Czy rozumiesz? — zapytał żonę pan January.

— Rozumiem,—odpowiedziała smutno.

— Ja odrazu zmiarkowałem, jak tylko zobaczyłem starą... Stań przy niej, a jakbyś przy zamkniętym stawie stanęła. Już podział fortuny krzywdą był dla naszego dziedzica, i w tym stosunku do Hajczyniec jakaś się krzywda stała...

— Panie Sochacki,—odezwał się nagle Hipolit, zatrzymując się przed starszankami.—Wyhasałem się z twojemi dziećmi, aż pot mi spłynął po czole—teraz może użyjemy małej przechadzki.

— Do pszenicy, do pszenicy. Złoto rośnie, a za parę miesięcy kopać będziemy.

Grudowski rzucił ręką.

— Co mi tam!—rzekł.

Zwrócił się do pani Sochackiej:

— Do widzenia z panią. Na święcone do państwa przyjdę,—dodał.—Dzieci, buzi ujkowi! Wycelował ucieknie.

— Dia, ujek, dia!—wołały za odchodzącym.

Wyszli za bramę—w pole.

Szli w milczeniu taśmami i miedzami, słońce już było wysoko, dzwoniły skowronki, z niedalekiego jeziora odezwało się rzechotanie żab. Unawka wezbrała i wypełniła brzegi, w dali łoskot wody było słychać i klekot młyna. Snać

młynarz, obawiając się o całość grobli, puścił wodę na wszystkie zastawy.

Hipolit sposepniał.

Przykrył mu był dzisiaj ten szum i klekot. Przypomniał sobie ów pamiętny dzień październikowy, gdy państwo Rybstwo nawiedzili dom jego, a panna Matylda zaprojektowała przechadzkę do młyna.

Prześliczna była jesień, świecąca złotem i purpurą...

Jak mu wtedy dobrze było!...

I przyszła mu na myśl scena z pajakiem, który z sufitu spuścił się na rękę panny Matyldy,—śmiała się, bawiła się we wróżby. Dom jego brzmiał od dźwięków muzyki i gwaru rozmowy. Wesoło było... snuło się marzeń trochę—

A teraz?

Panna Matylda przepowiedziała śmierć sobie. To dziwne—a jednak prawdziwe!

Zagadką życie ludzkie, zagadką przecucia, które bywają w tem życiu...

On śmiał się z wróżb tych. Widział potem ją na balu, gdy na jego wspierała się ramieniu; pamięta, jak z pierśią wezbraną, z rozplamioną twarzą słuchała szmeru wody—tam... tam... Później...

Biedna panna Matylda!

Westchnął,—i ból pierś mu ścisnął.

Z założonemi w tył rękami szedł naprzód, nie widząc sam, dokąd idzie, gdzie się zatrzyma. Sochacki parę razy zwracał uwagę dziedzica na piękny wzrost pszenicy—ale ten go nie słyszał... Pograżył się w zadumę głęboką, rozwiązywał nierozwiązane tajemnice, przeczuć, jasnowidzeń, celów życia i—zagadkę śmierci.

Znaleźli się aż na gruntach piaszczańskich, na nowozazielenionych obszarach.

Smukłe dąbczaki i brzozy strzelały w błękit, gęstwina prawie nie do przebycia była.

Grudowski stanął.

Trud to jego, jego praca.

— Patrz pan, jak to wszystko urosło!—zwrócił się do Sochackiego. — I ten dąb—może żyć lat trzysta... i więcej, znacznie więcej... bez pożądań żadnych, pragnień, zachwytów... A człowiek?...

— Nie umiera, nie umiera—rzucił Sochacki.

— Jakto—nie umiera?

— Wciela się tylko w nową formę bytu...

— Cóż za pociecha?

— Z pamięcią przeszłości, — dokończył pan January.

— Ziemia więc jest—mówił Grudowski,—początkiem jego istnienia, bo o innem pamięci nie mamy?

— Tak jest,—mruknął pan January,—i dla tego tyle zbrodni, kłamstwa, ohydy, podłości i nieczemności przeróżnych mamy. Tu, po raz pierwszy obudza się świadomość ducha—poznaje się dobro i zło, ociera się o brud i nędzę życia—walczy się i cierpi. Upada i zwycięża, usypia się snem śmierci, by z ziemskim już dorobkiem na innych obudzić się światach. I tak ciągle—w wieczność!

— A dzieci?—spytał Hipolit.

— Wcielać się po raz drugi tu muszą.

— Nową pan filozofję stworzyłeś, — rzekł Hipolit, trochę zdziwionemi oczyma patrząc na Sochackiego.

— To moja wiara. I dlatego tak pilnujemy dzieci jak oka w głowie, by oszczędzić im boleści narodzin drugich. Czynimy to bezwiednie, a raczej—ze świadomością bezwiedną. Dowiemy się kiedyś, że tak jest, boć nie wszystkiego dowiadujemy się odrazu.

Złote plamy słońca, przedzierając się przez gęste drzew liście, u nóg im się ślały; w powietrzu była niezamącona niczem cisza, ptaszki umilkły, brzęczał tylko rój owadów, posuwając się za blaskami idącego wciąż słońca.

— Południe—może czas wracać,—szepnął Sochacki.

— Wracajmy,—rzekł obojętnie Grudowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DZIKA KACZKA.

Dramat w 5-ciu aktach Henryka Ibsena.

Jak przed parą tygodniami, pisząc o „Dzwonie zatopionym“ Hauptmana, wypowiedzieliśmy przekonanie, iż nie powinniśmy zbyt żałować, że owa hauptmanowska fantazja na polskim nie urodziła się gruncie, tak to samo i teraz powtórzę mi wypada, gdy z obowiązku sprawozdawcy teatralnego, ze zdaniem własnem muszę stać się przed czytelnikami naszymi, mówiąc o „Dzkiej kaczce“ Ibsena. Powiem nawet więcej: gdyby którykolwiek z autorów naszych zechciał sobie taką „Dziką kaczkę“ upolować, nie uniknąłby krzyża Pańskiego, którego mu nie pożałowali krytycy nasi, a będąc pogrzebany żywcem, kto wie czyby już kiedyś się podnieść. Ale zagranica tworzy same arcydzieła, my zaś same lichoty; częstokroć nim zapoznamy się z jakimś dziełem przez Francuza czy Niemca napisanem, czytamy sprawozdanie o niem, gdzie „rzecz swoją“ podnoszą „swoi“ i w ten sposób podają do wiadomości szerokiemu światu o nowej sile pisarskiej, na ich glebie urodzonej. Lecz niechby, ciekawość twórczości polskiej jaki pisarz zagraniczny zechciał pójść za przewodem krytyki naszej i w niej poszukać wskazówki co do wyboru sztuk godnych pracy tłómacza i desek teatralnych, to albo zbłąkałby się w labiryncie zdań jak naj-sprzeczniejszych, albo obłany gorącą wodą cię sprawozdawczych, nie zadawałby już sobie trudu zajrzenia do osądzonej pracy, do potępionego bez pardonu dzieła.

Mówiąc tak, słów swoich na wiatr nie rzucam. Jeżeli brak nam wielkich Mickiewiczów, to nie brak miniaturowych Osińskich, Dmochowskich i Grzymałów, to jest takich sobie, o których później świat i literatura niewiele wiedzieć będą. Oczywiście, że gdy Mickiewicz miał swoich Osińskich i Dmochowskich, to mniejsi od Mickiewicza mają mniejszych Dmochowskich i Osińskich, ale rzecz sama w sobie nie zmieniła się wcale.

Zamiast przykładów, jeden świeży nam przykład wystarczy.

Zaledwie miesiąc upłynął, jak rozstrzygnięty został konkurs imienia Paderewskiego na sztukę dramatyczną. Arcydział nie było, lecz były rzeczy względnie dobre. Zważywszy zaś na to, że ofiarodawca do ubiegania się o palmę pierwszeństwa powołał *li tylko* siły młode — tem bardziej sąd konkursowy musiał się z tem liczyć i w wyrokach swoich być bardzo pobłażliwy. Pomimo jednak tego liczenia się i pobłażliwości, wynik konkursu był bardzo dobry. „Zaczarowane koło“ Rydla, „Biała gołąbka“ Nowińskiego i „Karykatyry“ Kisielewskiego, powinny nas natęczać, że piśmiennictwo nasze nie leży odłogiem, że rodzą się nowe talenty, nowe siły, że nowe prądy przechodzą przez nas, które z czasem, kto wie, czy nie staną się krynicą źródeł kastalskich dla pokoleń następnych. Bogiem a prawdą,—wybaczenie mi zwolennicy Hauptmana!... ale nie widzę tak wielkiej różnicy, jeżeli chodzi o artystyczną i literacką wartość, pomiędzy „Zaczarowanym kołem“ a „Dzwonem zatopionym...“ Powiem nawet, że w „Zaczarowanym kole“ świat fantastyczny jest stokroć bogatszy i barwniejszy; bajka więcej interesująca, płąta nina wypadków misterniejsza. Jeżeli w czem ustępuje, to chyba pod względem myśli filozoficznej, choć nie jest nowością i ta myśl filozoficzna Hauptmana, lecz wystarcza nowość szaty, w jaką ją pisarz niemiecki ubrał.

Byliśmy pewni, że wynik konkursu sprawi nam niełamaną radość ze względów wyżej przytoczonych. Powodzenie granych sztuk w Krakowie oklaskiwaliśmy serdecznie tutaj—tymczasem, po przejściu wrażeń pierwszych, w niektórych krakowskich i lwowskich pismach pokazały się wnet ostre żądla krytyki, powołującej pod swój sąd nieublagany i komitet sędziowski i cie-

szących się powodzeniem laureatów młodzień-
czych.

Okrutna zachęta do pracy dalszej!

Nie lepiej byłoby i z „Dzwonem zatopionym“ i z „Dziką kaczką“, gdyby jej autorowie mieli nieszcześnie na gruncie polskim się urodzić. Ale „Dzwon zatopiony“ zapełniał widownię naszych teatrów, ostatni zaś dramat Ibsena, mimo nieśmiałości tu i tam bąkania krytyków naszych, pozostanie dziełem, do którego dramaturgowie nasi nie dorosli. Przy postawionej tak sprawie, ciężkie zaiste mam zadanie, gdy przychodzi mi mówić o autorze, którego dzieł takich jak „Wróg ludu“, albo „Upiory“ jestem szczerym zwolennikiem.

Dawne zdanie: że sztuka jest trudną, a krytyka łatwą—niewiele prawdy ma w sobie. Wprawdzie sąd każdy o dziele danem jest zawsze subiektywnym, opiera się najczęściej na tem: co mnie się podoba, co przypada najbardziej do *mojego* usposobienia, co schlebia *moim* namietnościom, *moim* przekonaniom. Wydając sąd, zapominamy częstokroć, że autor danego dzieła, choć z tej samej gliny co i my jest ulepiony, ma swój sposób widzenia, inne przekonania, temperament, duszę inną i serce inne. Wejść na stanowisko pisarza, zmienić barwę swej skóry i przeinaczyć się duchowo—jest zadaniem nad możność ludzką; zadaniem więc krytyki jest tylko wykazać, czy autor do zamierzonego celu logicznie doszedł, czy użył środków właściwych dla wykazania przewodniej myśli swojej, czy tworząc, jak Ibsen w „Dzikiej kaczkę“ bociana, chcącego oczyścić świat z brudów, dał mu odpowiedni rozum i doświadczenie życiowe. Na to krytyka, oparta na nauce i doświadczeniu odpowiedzieć może i ma prawo, a ponieważ ani nauka, ani doświadczenie nie nabywają się szybko i łatwo—krytyka zatem jest niemniej trudna jak dzieło same, które na tych dwóch podstawach opierać się także muszą.

Mogą nam się obrane tematy przez autora podobać lub niepodobać, i nikt nam nie wzbroni, byśmy nie mieli stosownego wypowiedzieć zdania, mimo to dzieło sztuki nie powinno uciepieć na tem, jeżeli odpowiedziało wszystkim literackim, scenicznym i artystycznym warunkom. Wolimy naprzykład, ażeby jakiś orzeźwiający powiew popłynął ku nam z desek teatralnych, ogrzało nas ciepło zdrowe, coś, coby podniosło ducha, wzmocniło potargane nerwy, dało przedsmak czystości i siły, pokazało bohaterów, umiających łamać przeszkody i samych siebie zwyciężać; przenosimy to nad zamilowanie Ibsenowskie w chorobliwych ludzkich, nad jego pesymizm okrutny, w prawach dziedziczności widzący złych tylko nałogów spadkobierstwo, nieopromienione spadkobierstwem innej całkiem natury—mimo to zamilowanie nasze, sprzeczać się z autorem nie będziemy; jego wola ma tu głos rozstrzygający, jego upodobania nie mają obowiązku liczenia się z naszymi upodobaniami, byleby myśl przewodnia wysnuwała się jasno i logicznie, byleby w najśmielszych dziwactwach pokonywał nas rozsądek działania, byleby nam nie przyszła chętka głównego bohatera dramatu, jakim jest naprzykład Gregers w „Dzikiej kaczkę“, przenieść do komedii, w którejby doskonale mógł odegrać rolę maniaka, zakochanego w swojej uczciwości, lecz przez głupotę oplatającego ludzi w niepożądane dla nich sieci.

Dla nas ostatni utwór Ibsena jest logicznym dziwadłem; płaczą się tu dwie myśli, lecz nie wiemy, której ostatecznie autor hołduje: czy bezwzględnej prawdzie, która, postawiona przed oczyma ludzi, bezwarunkowo zapewni im szczęście, czy złudzeniom, które są koniecznymi w życiu. Niejasność założenia staje przed nami w chwili kiedy dramat dobiega do końca i zamiast rozwiązania zagadki, w nierozplątany węzeł się zacięśnia.

Bogaty fabrykant Werle prowadził życie hulaszcze. Odbiło się ono na jedynym synu jego Gregersie (Grzegorz), który pokrecony przez jakąś chorobę został, chodząc, włóczy za sobą nogę, cierpi na oczy, jak i jego ojciec, twarz ma brzydka, krostami pokryta. Hulaszcze życie Werlego przyczyniło się też do śmierci jego żo-

ny. Nie chcąc jednak dawać złego przykładu synowi, wysłał go w góry, gdzie jako dyrektor staje na czele kuźnicy. W domu Werlego znajduje się niejaka p. Sörby, zarządzająca, z którą Werle zamierza wstąpić w powtórne związki małżeńskie. Wzywa więc syna, któremu ma się wypowiedzieć ze swoich zamiarów i oddać zarząd spraw fabrycznych. Na wielkim obiedzie znajduje się Hjalmar Ekdal, syn byłego porucznika, niegdyś współnika Werlego, ożeniony z Giną. Dwaj przyjaciele lat młodzieńczych: Gregers i Hjalmar spotykają się przy tej uczcie.

Gregers, bawiący przez czas długi w górach, lubił w samotności rozmyślać nad wielu rzeczami. Uczciwy do szpiku kości, bolał nieraz nad nędzą ludzi. W chorobliwej swej fantazji, urobivszy pewien stały ideał cnoty i prawości, chciał stać się bocianem nieprawości ludzkiej i uszczęśliwić świat. Zadanie wspaniałe — i aczkolwiek niemożliwe do spełnienia, moglibyśmy ze czcią pochylić głowy przed wzniosłym fantazją, gdyby ów apostoł wiedział, gdzie i jak wziąć się do przeprowadzenia swojej myśli.

Przyczyna śmierci matki nie była tajną Gregersowi, jak równie życie rozpustne, jakie prowadził jego ojciec, czemu zawdzięcza on połamanie swojej postaci. Wrodzona prawość nie pozwalała mu zbliżyć się do ojca, tem bardziej, gdy dowiedział się, że do ciężaru win różnych przybyły dwie nowe podłości.

Ojciec Hjalmar, stary Egdal, współnictwo swoje w jakimś przedsiębiorstwie z Werlem, odpokutował w więzieniu, co pozbawiło go prawa noszenia wojskowego munduru i złamało życie uczciwego człowieka. Na dobitkę wszystkiego, Gina, dzisiejsza żona przyjaciela Gregersa, a syna starego Egdala, była niegdyś służącą u Werlego i jego—ulubienicą. Werle, czując się być blizkim pewnych obowiązków, namówił Hjalmarą do poślubienia Giny, przez ręce eks-porucznika dawał zapomogę jego synowi, który, z powodu więzienia ojca, nie będąc w stanie skończyć studyów, nauczył się fotografii i tem niby, zarabiał na utrzymanie rodziny. Mówimy *niby*, bo w rzeczywistości Gina, kobieta prosta, ale szczerze przywiązana do męża, — wyręczała go w pracy.

Hjalmar był skończonym próżniakiem; kochał żonę, o której przeszłości nie wiedział. Przyjaciół ich domu lekarz Relling, nie mogąc zmusić do rzeczywistej pracy Hjalmarą, a chcąc go ochronić od niesmaku próżniaczego życia, wmówił w niego, że musi dokonać wielkiego wynalazku w dziedzinie fotografii. Myśl ta podobała się Hjalmarowi i popadł w manię wynalazczą, pozwalającą mu czemkolwiek bądź czas zabić. Żona i córka Jadwisia zarabiała na chleb, on zaś, po dniach całych leżąc na sofie, myślał o wielkim odkryciu, które zapewniłby rodzinie i dał wygody życia staremu ojcu.

Jak było to było, ale na dolę swoją nie narzekali Egdalowie.

Gina spełniała wszelkie zachcianki męża, była sługą w domu, cicha, posłuszna, nie dręcząca się wcale zapomnianymi już przeszłości wspomnieniami, — ot, spi-dusza, w całym znaczeniu tego wyrazu. Eks-porucznik urządził sobie także życie po swojemu. Zapijał robaka; nie mając zaś prawa, będąc pozbawiony munduru, w mundurze pokazywał się publicznie, ubierał się w domu w uniform wojskowy, a będąc dawniej zawołanym strzelcem, polował na strychu na króliki, pukając po dniach całych w urządzonym przez siebie na poddaszu zwierzyńcu, gdzie okrom królików, były kury czubate, gołębie turkoty — i dzika kaczką.

Ta dzika kaczką, bez której dramat równie dobrze mógł się odegrać, jest symbolem upadku Giny, podłości Werla, podarunkiem uczynionym przez tegoż Egdalowi. Na polowaniu została postrzeloną i zanurzając się w wodę, w bagnie ugrzęzła. Wydobyl ją z błota pies myśliwy i przegryzł nogę. Jako upominek, dostała się do zwierzyńca eks-porucznika i została ukochaniem Jadwisi, która płaciła jej niemal tą samą pieśczęcią, jaką obdarzała rodziców. I o tym daleko dowiedział się Gregers, który wypowiedział

wszy ojcu w oczy okrutne słowa prawdy, zerwał z nim wszelkie stosunki, wyrzekł się fortuny i zamieszkał w wynajętym pokoju u Egdalów.

Maniak, pragnący uszczęśliwić świat i oprzeć to szczęście na odkrywaniu prawdy, apostołstwo swoje rozpoczął od domu przyjaciela. Nie obchodziło go nic, że tak jak było, Egdalowie byli szczęśliwi. On chciał ich szczęście oprzeć na świadomości tego szczęścia, bo dotychczas ono było oparte na kłamstwie, na złudzeniu.

I oto chybiony apostoł występuje jako duch czarny, nie anioł pokoju; jako monoman prawości, dobry w komedii, ale w dramacie, tak jak jest, jest postacią zupełnie chybioną, bez znajomości praw życia, duszy ludzkiej, drgnień jej subtelnych, według swojego widzi mi się tylko chcąc budować szczęście.

I kogo dla swej idei znalazł?

Hjalmarą, człowieka rozpróżnionego, bezwiednego blagiera (jak o tem dowiemy się później), lubiącego wygodki życia, kochającego szczerze córkę, mimo to patrzącego obojętnie, gdy ona, wyręczając ojca, bierze się do retuszowania fotografii, a zagrożona jest ślepotą, o czem sam mówi, nie wiedząc tylko, że ta choroba jest po Werlem odziedziczona.

Gregers, wierząc w szczęście, jeżeli ono ze świadomością jest połączone, mówi Hjalmarowi, czem była dawniej żona jego. Wedle niefortunnego apostoła, ta wiadomość powinna uszczęśliwić Hjalmarą, bo — oszukaństwo zostanie za drzwiami wyrzucone, Hjalmar zaś powinien przebaczyć żonie tę chwilę dawnego jej upadku i rozpocząć życie nowe, oparte na prawdzie, która jedyną jest dawczynią szczęścia.

Jest to paradoks, nie wytrzymujący krytyki.

Shczęście do prawdy mają się tak do siebie, jak róża do kopicy siana.

Gdzie jest *niepewność*, tam przekładamy *prawdę*, dla tego tylko, że *niepewność* jest *ciągłą* męką, *prawda* zaś od razu tę mękę przecina, mniejsza, czy ciosem śmiertelnym, czy błyskiem rozpraszającym chmury czarne.

Okropne bywają *prawdy*, ze szczęściem nie wspólnego nie mające.

To też wiadomość wyszeptana na ucho Hjalmarowi, staje się piorunem, w sposób okrutny druzgoczącym dotychczasowy spokój jego życia. Nie wierzy jednak słowom przyjaciela, żąda potwierdzenia od żony i ta się przyznaje, wprostocie ducha nie rozumiejąc nawet wielkiej rozpacz Hjalmarą. Na zapytanie męża: „Dla czegoś mi o tem nie powiedziała przed ślubem?“ odpowiada najnaiwniej: „Bobyś się nie ożenił ze mną.“

Teraz zrozumiałym Hjalmarowi się staje względny dobrobyt, jakim się cieszą, teraz pojmuje za co staremu Egdalowi Werle płacił.

„Dzika kaczką“, znaleziona w błocie, to jest brud ten, w którym on, Hjalmar bezwiednie się tarzał. Opuszczając zwalone gniazdo swoje, chce temu, Bogu ducha winnemu stworzeniu szyję ukreślić, ale powstrzymują go od tego czynu lzy Jadwisi, której rozpacz na myśl, że jej ulubiona kaczkachna zginać może, granic prawie nie ma.

Gregers nie spodziewał się takiego cięcia, perswazyje jego na nic idą, raz się podejrzania rzucony w duszy uwiedzionego, rośnie coraz szybciej i zwraca się ku Jadwisi.

Jej chore oczy — to dziedziczna Werlów choroba! Kto wie, czy to dziecię ukochane jest jego dziećciem? Gina i tę zagadkę wyjaśnić musi i wyjaśnia zgodnie z prawdą, z rozpaczą dla unieszczeniowego do reszty. To też gdy umyka od pocałowań garnącej się do niego Jadwisi, w duszy dziecka rodzi się podejrzenie, czy ona czasem nie jest podrzuconem dziećciem, jak o podobnych wypadkach w książkach czytała. „Agdyby tak było?“ — pyta ją Gregers i tem pytaniem upewnia dziewczynę, że tak jest. Lecz ona kocha tego przybranego ojca, nie wahałaby się przed żadną ofiarą, byleby tylko on miłość swoją jej powrócił.

Na dziwaczny wprost koncept wpada tu Gregers. Dowiedział się, że Hjalmar chciał dziką kaczką zabić, powstrzymały go tylko lzy Jadwisi. Teraz Jadwisia powinna dać dowód miłości swojej dla ojca i własną ręką kaczkę zastrzelić,

pozbawić życia ulubienicę swoją. I oto maniak prawości namawia dziecko do—czynu niegodnego, bo choć to sobie jest dzika kaczką, a jednak pojęcie bezwzględnej uczciwości, mord dokonany przez dziecko, nawet na dzikiej kaczkę, jest niczem innym, jak tylko zbrodnią, w rozumieniu waryata tylko mogącą być ważnym czynnikiem do naprawienia tak bardzo potarganych stosunków rodzinnych.

Ostatni ten akt dramatu rozegrywa się w dniu urodzin Jadwisi. Edgałowie otrzymują zapis dużej sumy przez Werla, jako dożywocie na utrzymanie eks-porucznika, a po jego śmierci — Jadwisi. Nowe upokorzenie spotyka Hjalmar, to też drze zapis, ale z pewnem wahaniem się, ostrożnie, przedziera go tylko na dwoje.

Hjalmar ma dom swój opuścić na zawsze, Gina z bydlęcym spokojem pomaga mu da wybić ramię się w drogę, Jadwisia tylko na szyję mu się rzuca, ale zostaje odtrącona, ze słowami: „Obca!“

Ten wyraz zmusza wahającą się do czynu. Kaczka zabita być musi. Bierze więc pistolet ojca i wychodzi na strych, a tymczasem Hjalmar, leniuch i żarłok, bierze się do przygotowania przez żonę śniadania. Wzrok jego pada na zapis podarty, każe więc go żonie nakleić, boć się zawsze na coś przyda. Na strychu daje się słyszeć strzał. To stary Edgał strzela, urządza polowanie na króliki... Nie! Gregers wyjaśnia Hjalmarowi znaczenie tego strzału i Hjalmar, który przedtem rozdarł dokument podkleił, wzruszony tym dowodem przywiązania Jadwisi, już jest bliski pogodzenia się z Giną, to jest: oparcia swojego szczęścia na prawdzie, gdy niepokoi go długie niewychodzenie ze strychu Jadwisi. Biegne tedy na poddasze i—wynosi trupa Jadwisi.

Jest-że to śmierć wypadkowa?

Prawdopodobnie, że nie... „Obca“ odtrącona, w poczucie bólu niezmiernego, musiała sama sobie życie odebrać...

Na tem się dramat kończy.

Zdawałoby się, że główną ideą dzieła Ibsenowskiego jest — konieczność złudzeń, niemożność budowania szczęścia na prawdzie czystej. Odkrycie tej prawdy—zamąciło spokój długoletni, złamało życie dotąd szczęśliwych z niewiadomości prawdy—dwojga ludzi.

Tak i nie!...

Bo — gdyby nie śmierć Jadwisi, a ona wcale nie jest skutkiem logicznych przyczyn—leniwy duch Hjalmar już zgodził się z faktem dokonany, już był bliski zapomnienia przedawnionych win żony, jak pogodził się z hańbą przyjęcia zapisu. Nowe pożycie małżeńskie utrwaloneby już zostało na zasadach Gregersa i apostoł mógłby śmiało tryumfować, dalszych doświadczeń swoich na innych już ludziach i gdzieindziej próbując. Wziąwszy się tylko do rzeczy niewprawnie i skazując na śmierć dziką kaczkę, popsuł wszystko.

Ale to, coby się udało z Hjalmarem, nie udało by się z innym osobnikiem. Hjalmar był leniuchem i nieświadomym, jak zaznaczyliśmy wyżej, blagierem, bo w końcu sam przyznał, że wynalazku żadnego nie dokonał, a jeżeli mówił wciąż o nim, to był to wpływ doktora, który *wmówił* w niego nieposiadaną nigdy zdolność.

Postawiona teza przez Ibsena — chwieje się. Niepewnym jest, czy kłamstwo, czy prawda potrzebne? Tak, jak dramat się rozwiązał, potrzebne są kłamstwa czasami — do szczęścia; lecz gdyby pistolet w ręku nieumiejętnej dziewczyny nie wypalił lub celu chybił — tryumfowałaby zasada prawdy Gregersa, bo—jak widzieliśmy, — Hjalmar już godził się z życiem, opartem na świadomości wypadków życia. Jedna myśl tylko, choć przeprowadzona niezręcznie, góruje i w tym dramacie, jak we wszystkich zresztą utworach Ibsena: to ten pesymizm autora, że jednostka ginie zawsze w walce z ogółem, że próżne są jej wysiłki, jeżeli chce ideał dożycia, prawdę do kłamstwa wprowadzić.

Nie będziemy się dziwili, jeżeli sztuka ta zbyt szybko zejdzie się do repertuaru. Nie zadawałaby ona

ani naszego moralnego zmysłu, ani — *tak jak jest* przeprowadzona, nie rozświeśla zagadek życia, nie daje też ani sercu, ani rozumowi przedmiotu do rozmyślań.

Kazimierz Gliniński.

ODCZYTY.

V.

Ferdynand Hoesick. „Ostatnie chwile i zgon Ferdynanda Chopina.“

Są, jak się okazuje, tematy, wzbudzające u nas zawsze żywe zajęcie w szerokich warstwach inteligentnego ogółu. Należą do nich zwłaszcza te wszystkie, które dotyczą życia i twórczości kapłanów sztuki ojczyściej, wielkich naszych poetów i artystów, wznoszących na skrzydłach natchnienia serca i dusze nad poziomy i pozostawiających narodowi w spuściznie drogocenną „swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty,“ oraz ową siłę fatalną, mającą z czasem, według wyrażenia poety, „zjadaczów chleba“ w aniołów przerobić.

Odczyt p. Ferdynanda Hoesicka o ostatnich chwilach i zgonie Fryderyka Chopina, zapisał dwukrotnie w krótkim odstępie czasu (22 i 26 kwietnia) salę muzealną po brzegi. Na pierwszym odczycie panował ścisł formalny, wiele osób odejść musiało od kasy bez biletów, wobec czego postanowiono prelekcję powtórzyć. Próba powiodła się znakomicie, co tem bardziej zasługuje na zaznaczenie, że jednocześnie p. Szawłowski mówił w sali ratuszowej o wpływie kobiet i salonów na ruch umysłowy XVIII wieku.

Obok ciekawego a przystępnego dla ogółu tematu, obok pietyzmu dla wielkiego twórcy preludyów i mazurków, wielu słuchaczy pociągnęła też zapewne niezwykła ilustracja odczytu, polegająca na odegraniu przez p. Bilińskiego na przygotowanym *ad hoc* fortepianie kilku utworów Chopina, związanych z treścią wykładu, a więc dwóch ostatnich mazurków wielkiego muzyka (G—moll i F—moll), wspaniałego marsza żałobnego, oraz dwóch preludyów (H—moll i E—moll), które wykonywano w kościele podczas pogrzebu ich twórcy. Dodać należy, iż p. F. Hoesick, występujący, o ile wiemy, pierwszy raz na katedrze publicznej, dał się od razu poznać, jako bardzo dobry prelegent, umiejący mówić donośnie i wyraziście, przyjemnie modulować głos, nie pozbawiony pewnego patosu, ale daleki od przesadnej, nienaturalnej deklamacyjności i afektacji.

Przejdźmy do treści odczytu. Objęła ona ostatnie ośm miesięcy życia wielkiego mistrza fortepianu i jest zapewne jednym z rozdziałów obszernego dzieła o Chopinie, nad którym autor trzymomowej biografii psychologicznej Juliusza Słowackiego zaczął w ostatnich latach pracować.

Na wstępie samym prelegent skreślił smutny wizerunek poety tonów, kiedy ten, wróciwszy w Marcu roku 1849, po całorocznym pobycie w Anglii, do swego dawnego mieszkania przy *Square d'Orléans* w Paryżu, przedstawiał pod względem fizycznym ruinę zupełną tak, że porównywano go do jakiegoś niezmiernie delikatnego owadu, którego dotykać nie można, aby mu skrzydeł nie uszkodzić. Prawdziwym ciosem dla Chopina była w tym czasie śmierć jego ulubionego lekarza dra Molina, któremu ufał bezgranicznie. Smutne to zdarzenie napełniło duszę artysty gorczą i zwątpieniem, odebrało mu wiarę w skuteczność medycyny wogóle i odbiło się najfatalniej na stanie jego skolatanego zdrowia.

Mówiąc o najbliższem otoczeniu Chopina w owym okresie czasu, p. H. wymienił takich jego przyjaciół i uczniów, jak Gutman, Franchomme, Aleksander Czartoryski; a z kobiet ks. Adamową Czartoryską, panią Clesinger (córkę pani Sand), pannę Stirling, która umyślnie przy-

jechała ze Szkocyi, by doglądać w chorobie uwielbianego mistrza, i wiele innych „dystyngowanych aniołów opiekuńczych,“ zanudzających wprost niekiedy artystę zbyt wielką troskliwością o jego zdrowie.

Na ten okres choroby przypadają właśnie ostatnie kompozycje Chopina. Zbyt osłabiony, aby móżdż w dalszym ciągu dawać lekcyje, próbował w pracy twórczej znaleźć ukojenie w cierpieniach i źródło zarobku. Rozstrój nerwowy nie pozwolił mu jednak pracować spokojnie, nowe utwory nie zadawały artyście, który je niszczył zaraz po napisaniu, tak, że z tej epoki pozostały tylko dwa wspomniane wyżej mazurki, pierwszy G—moll, wykończony zupełnie i doskonale pod względem formy, drugi F—moll o niezmiernie równym nastroju, brzmieniu, według określenia prelegenta, niby jakiś tęskny, bezbrzeżnie smutny śpiew ulatującej duszy. Mazurek ten, naszkicowany zaledwie, był labędzim śpiewem Chopina. Wzmagać się choroba zmusiła go do zaniechania pracy twórczej.

Razem z siłami chorego zaczęły się wyczerpywać i środki pieniężne. Na szczęście, umierającemu artyście pośpieszyła z pomocą ulubiona uczennica, panna Stirling, do której w tem smutnem położeniu zwrócił się w tajemnicy przed Chopinem przyjaciel jego Franchomme. Złożyła ona od razu 25.000 franków na koszt choroby mistrza, który z sumy tej, po długim wahaniu, zdecydował się zatrzymać połowę. Tym sposobem wielki artysta miał zabezpieczoną przyszłość najbliższą, i najnudniejszą z trosk, troska o byt materyalny, nie zatrula gorczą ostatnich dni jego życia.

W pierwszych dniach Czerwca, gdy w Paryżu wybuchła cholera, kurz i gorąco dusiły, a wyczerpanie nie pozwalało przedsiębrać dalszej wycieczki do wód lub nad morze, przyjaciele Chopina przeprowadzili go na tonącą w zieleni ogrodów podmiejską ulicę *Chaillot*, gdzie powietrze było zdrowsze i przyjemniejsze, a ze słonecznych okien pierwszego piętra, które artysta zajmował, roztaczał się widok rozległy na Sekwanę, na łuk tryumfalny, na złoconą kopułę Inwalidów, na las wież i kominów wielkiego miasta, które w pewnem oddaleniu wrzało, jak zawsze, życiem gorączkowym. W tem ustroniu zacisznem przeniósł Chopin do końca Września, pielęgnowany przez wiernego sługę Daniela i *garde-malade*, którą była z początku młoda i sympatyczna Polka, krewna Wołowskich, a po jej wyjeździe niejaka pani Matuszewska, przysłana artyście przez księżnę Czartoryską.

Liczni przyjaciele i znajomi umierającego muzyka rozjechali się tymczasem w różne strony. Jednych upał wypędzał z Paryża, drugich obawa cholery. Przywykłemu do gwarnej życia artyście osamotnienie zaczęło się dawać we znaki. Jednocześnie do dawnej choroby piersiowej przyłączyło się puchnięcie nóg i nieprawidłowe działanie serca. Przeczucie śmierci skłoniło Chopina do sporządzenia testamentu i napisania do domu, aby ktoś z rodziny przyjechał go odwiedzić przed śmiercią. Czując, że mu życie ucieka, że wypadnie zamknąć oczy na obcej ziemi, chciał przynajmniej w tej smutnej godzinie mieć kogoś z najbliższych przy sobie.

Do osób, które w tym czasie odwiedzały Chopina najczęściej, należał młody poeta Cyprian Norwid, oraz Karol Gavard. Artysta lubił ich towarzystwo. Z pierwszym, czując się lepiej, wyjeżdżał niekiedy na spacer lub w odwiedzinach do bliższych znajomych, jak do Bohdana Zaleskiego. Z drugim czytywał książki polskie i francuskie, a raczej słuchał czytania na głos pojedynczych rozdziałów z „Dykcyonaru filozoficznego“ Voltaire'a i innych dzieł. Niekiedy przychodził Gutman i grywał artyście na fortepianie własne jego kompozycje albo utwory Mozarta, którego Chopin był wielbicielem gorącym.

Przyjechała nareszcie siostra artysty, pani Jędrzejewiczowa, z mężem i córką. Chory nie ludził się nadzieją wyzdrowienia, ucieszył się jednak bardzo, że się jegożyczenie spełniło. Śmierci nie obawiał się wcale, oczekiwał jej, owszem, z pewnem utęsknieniem, jako wyzwolenia z cier-

pień moralnych i fizycznych. Lekarze, zebrani na konsylium, orzekli tymczasem, że wobec gwałtownego rozwoju choroby, niema już żadnego ratunku. Można było, co najwyżej, przynieść choremu pewną ulgę w cierpieniach, przedłużyć nieco nie jego żywota, nad którą zabyli już fatalne nożyce Parki. W tym celu właśnie postanowiono przeprowadzić artystę na zimę do słoneczniejszego mieszkania; na *Square d'Orléans* bowiem, gdzie mieszkał dotychczas, warunki pod tym względem były niezbyt korzystne.

Kwestya przeprowadzki zajęła bardzo Chopina, pozwalając mu zapominać chwilami o opłakanym stanie zdrowia, robić bardzo odległe plany na przyszłość. Nowe mieszkanie przy *Place Vendôme* pod N. 12. napełniło jego duszę nową otuchą do życia. Urządził je przy pomocy przyjaciół i siostry bardzo wygodnie i ładnie, kupił nowe obicia i meble, jak gdyby zamierzał tutaj rozgościć się na lata całe. Było to jednak, niestety, jedno z owych charakterystycznych złudzeń, zapowiadających zwykle u suchotników zbliżanie się ostatniej godziny.

Jakoż na nowem mieszkaniu, które Chopin zajął przy końcu Września, stan jego pogorszył się tak, że chory robił wrażenie konającego. Chwilowe złudzenia przysły, świadomość groźnego stanu powróciła, artysta nie pozwalał sobie przeczyć, mówiąc zupełnie przytomnie do przyjaciół i lekarza: „Wielka to łaska, gdy Bóg pozwala człowiekowi mieć świadomość chwili, gdy zaczyna się jego konanie. Łaską tą obdarza mnie obecnie. Nie przeszkadzajcie mi.“ Jakoż 12 Października stan chorego był tak groźny, że leczący go dr. Cruveiller, nie rękując za noc, polecił wezwać księdza. Sprowadzono O. Jełowickiego.

Jeszcze jednak dni kilka sądzono było męczyć się artyście. Ostatnie chwile jego życia obfitowały w wiele wzruszających szczegółów, zgromadzonych i odtworzonych z pietyzmem przez prelegenta. Łoże umierającego otaczali liczni przyjaciele, księżna Marcelina odgrywała przy chorym rolę troskliwej siostry miłosierdzia, przewidującej najdrobniejsze jego zachcenia. Oto np. na parę dni przed śmiercią zagrano na żądanie artysty jego sonatę G—moll, lecz muzykę przerwać musiano, bo chory wzruszony wspaniałą introdukcją do tej swojej pieśni łabędziej, zaczął się dusić po pierwszych kilkunastu taktach.

Nastąpiło znowu pogorszenie. Zgromadzeni zaczęli odmawiać z ks. Jełowickim litanię do wszystkich świętych, a chory, napół przytomny, powtarzał do modlących się przyjaciół: „Dobrze mi, że tak umieram. Nie płaczcie, przyjaciele moi. Módlcie się za mną. Do widzenia w niebie...“

W dniu 15 Października, który miał być przedostatnim dniem życia Chopina, chory od rana czuł się lepiej. Przed śmiercią spotkała go jeszcze radość jedna, którą był przyjazd z Nizy Delfiny Potockiej. Gdy piękna hrabina, przybrana w biały strój klasyczny, zbliżyła się do łóżka chorego; ten zawołał z rozpromienieniem obliczem: „*C'est donc pour cela, que Dieu tardait tant à m'appeler à lui. Il voulait encore me laisser le plaisir de vous voir.*“

Na usilne naleganie umierającego, pani Delfina zdecydowała się zaśpiewać mu sławny „Hymn do Matki Boskiej“, który, według podania, ocalił niegdyś życie Stradelli. Słuchając czarownych dźwięków pieśni, Chopin był jak w ekstazie i powtarzał tylko: „Jakże to piękne, ach, jak piękne!“

Następnej pieśni wysłuchać już nie mógł do końca. Przerwał ją atak duszności i kaszlu, a wieczorem pogorszyło się jeszcze. Przyszła noc straszna, w której chrypka odebrała prawie głos artyście. Chory cierpiał niezmiernie, chwilami tracił przytomność, śmierć zdawała się nieuniknioną, jeszcze jednak dzień jeden pozostał mu do przeżycia.

W dniu tym czuł się znów lepiej, rozmawiał z ulubionymi uczennicami, księżną Marceliną i Elżą Gavard, o muzyce, polecił siostrze, by spaliła niektóre jego słabsze kompozycje, wyra-

ził wreszcie życzenie, aby go pochowano na cmentarzu Père Lachaise obok Belliniego, a serce przewieziono do Warszawy... Prosił również, aby przy jego trumnie w kościele wykonano wspaniałe *Requiem* Mozarta.

Przytomność nie opuszczała go do końca. Gdy wieczorem przyszło znowu pogorszenie, tym razem ostatnie już naprawdę, i gdy stojący przy łóżu ksiądz Jełowicki skończył odczytywać modlitwy za konających, Chopin, o którym przypuszczano, że spał w ponurem świetle gromnicy, otworzył oczy szeroko i rzekł wyraźnie: *Amen*.

Śmierć przyszła między godziną trzecią a czwartą rano. Wyznają ducha na rękę Gutmana, poczem otworzył drzwi od przyległych pokojów, z kąd napłynęli szeroką falą zgromadzeni tam przyjaciele, aby popatrzeć raz jeszcze w zaścigłe oblicze mistrza, które wolne już było od wyciśniętego na niem przed chwilą stygmatu cierpienia. Wśród czekających znajdował się zaprzyjaźniony ze zmarłym malarz Tadeusz Kwiatkowski, który przystąpił niezwłocznie do akwarelowego portretu artysty, a rzeźbiarz Clesinger zdjął z jego twarzy maskę pośmiertną.

Szczegółowy opis uroczystości pogrzebowych, w których wzięły udział tłumy przyjaciół, uczniów, uczennic, rodaków i wielbicieli mistrza, stanowił zakończenie zajmującego i wzruszającego swą smutną treścią odczytu p. Hoesicka, który przytoczył jeszcze głosy prasy francuskiej o Chopinie, podkreślające polski charakter jego utworów. Ponure akordy chopinowskiego marsza żałobnego były wymowną ilustracją tej części odczytu, wywierającą na zebranej publiczności wrażenie głębokie.

Wł. Bukowiński.

RUCH MUZYCZNY.

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne święciło przed tygodniem „jubileusz.“ Był to jubileusz pięćsetnego koncertu tej instytucji, istniejącej od 19 Kwietnia 1871 roku. Historię Towarzystwa w krótkich a dosadnych słowach skreślił Maryan Gawalewicz.

Pierwszy dyrektor Towarzystwa, Aleksander Zarzycki, witał przed 28-iu laty słuchaczy i przemawiał do nich wzniosłym „Hymnem do muzyki; nastrajał zaś ich serdecznie Wacław Szymanowski. Do „Tria“ zasiadli wtedy: Strobł, Górski i Goebelt; p. Halina Troszel odśpiewała kawatinę z „Tankredy“, a Władysław Żeleński, młody wówczas kompozytor, wraz z Goebeltem odegrał własnego „Walca lirycznego.“ Program w dalszym ciągu na tym pierwszym koncercie wypełniły dzieła Schuberta, Moniuszki, Zarzyckiego, a chóry odśpiewały nawet „Latającego Holendra“ Wagnera. Program świadczy, iż Towarzystwo od samego założenia miało artystyczne cele na względzie, ale nie mogło dojść do równowagi w budżecie. Nic nie pomogły starania, publiczność na koncertach świeciła nieobecnością, a komitety napróżno łamały sobie głowy, jakby sztukę pogodzić z finansami. Jak w rozstrojonym fortepianie — powiada Gawalewicz — odzywał się fałszywy ton pod nadłamanym klawiszem i wytwarzał rozpaczliwą często kakofonię w tonacji *D—minus*, zwaną *De—ficytem*. Smak publiczności nie chciał się długo wyrobić — i całe dziesięciolecie upłynęło Towarzystwu pod dyktandem: Zarzyckiego, Wieniawskiego i Żeleńskiego, na próżnych usiłowaniach w tej mierze. Były to czasy, w których Paderewski i Michałowski brali całętrzy ruble za występ na estradzie, a rubelka za akompaniament... Dżisiejszy dyrektor Noskowski brał wtedy za grę na skrzypcach... 5 rubli! Raz tylko było pełno, gdy na estradzie wystąpił Węgier, nazwiskiem Nagy, i zagrał na piszczałce o trzech dziurkach...

Rozwój i wzrost Towarzystwa zaczął się dopiero z chwilą, gdy na dyrektora powołano Zyg-

munta Noskowskiego, który posiada wyjątkową zdolność pracy, energię, zapał i silne barki: potrafił udźwignąć ciężar Towarzystwa i stoi po dziś dzień niezmordowany i mocny, jak przed osmnastu laty. Środków chwycił się Noskowski rozmaitych (urządzał w r. 1882 nawet tańce), ale przez wyciężył obojętność publiczności. Od roku 1890 zaczyna się zapalać na wieczorach sala; koncerty są coraz piękniejsze, z coraz świetniejszymi na programach nazwiskami...

Zaczynają się ludzie na „środy“ Towarzystwa ciskać — i instytucja zaczyna obrastać w pierze. Tu na tej estradzie debiutują: Paderewski, Barcewicz, Michałowski, Śliwiński, Hofman, Żeleński, Noskowski, Maszyński — cały szereg wybitnych artystów. A słuchacze wykształcili się, nabrali smaku, stając się bardzo wymagającymi. Był czem publiczność się już dziś zadowolić nie da; trzeba jej dawać takie wieczory, jak ten „jubileuszowy“ naprzykład. Chóry doskonale przez Noskowskiego wyrobione, orkiestra, która również jemu zawdzięcza swoje postępy, dziarska i sympatyczna „Lira“, mistrzowski zawsze prof. Michałowski, piękne dzieła (w rodzaju barkaroli z Münchheimera „Stradioty“) i t. d. — oto wiązanka tego koncertu.

W urządzaniu koncertów Towarzystwa Muzycznego jest myśl przewodnia. Przypomnijmy np. wieczór, na którym zapoznaliśmy się z utworami młodego kompozytora naszego, p. Zygmunta Stojowskiego, który się kształcił w Paryżu i świetne rokuje nadzieje; a choć p. Stojowski dużo jeszcze nad sobą pracować musi, aby osiągnąć wyżyny sztuki, wszelako dziś już świadczy o rzeczywistych swych zdolnościach. Wyborne studia młodego kompozytora są widoczne w każdym utworze i najkorzystniej względem p. Stojowskiego usposabiają.

Na innym znowu wieczorze Towarzystwa zapoznaliśmy się z nowym instrumentem muzycznym, — nie nowym w zupełności, ale świeżym w systemie. Tym instrumentem jest harfa chromatyczna, na której grała z powodzeniem p. Zielińska. Nowy system tej harfy polega na tem, że nie ma w niej pedałów, a są półtony. Wszystko to ułatwia grę w wysokim stopniu i daje ton czysty i pełniejszy. Jesteśmy pewni, że w drugim półtysiącu wieczorów Towarzystwo olbrzymim krokiem pójdzie dalej ku wyżynom najszczytniejszego artystzmu.

Gdy tak nasza najstarsza instytucja muzyczna daje dobitne znaki swej żywotności, inne grono osób, myślących o zorganizowaniu muzycznych pierwiastków na wyższą skalę w projektowanej „Filharmonii“, niezwykle okazuje ruchliwość. Księstwo Stefanostwo Lubomirscy i dyrektor opery Emil Młynarski gorąco sprawę tę wzięli do serca, i znalazłszy energicznego współdziałacza w tym kierunku, redaktora „Echa Muzycznego“ p. Aleksandra Rajchmana, — zabrali się z zapałem do dzieła. „Filharmonia“ będzie też instytucją pierwszorzędną miary i wysokiego stanowiska artystycznego, — oby jak najprędzej urzeczywistniona została.

Jako zapowiedź przyszłości, nad którą pracuje powyżej wymienione grono osób, mieliśmy w Teatrze Wielkim wspaniałe wykonanie nowego dzieła włoskiego księdza Lorenza Perosi p. t. „Wskrzeszenie Łazarza.“ Jest to oratorium pomysłane szeroko, choć brakuje mu głębi nalezitej. Młody kompozytor, Włoch-kapłan, z zapałem został przyjęty przez rodaków, a potem z dziełem swoim obiegł już najwybitniejsze ogniska muzyczne. Dzięki nowemu gronu miłośników muzyki, i Warszawa usłyszała ten utwór, ogromnie bądź co bądź ciekawy. Wielką zasługę zdobyła sobie ks. Natalia Lubomirska, która osobiście w oratorium wzięła udział i przez to uświetniła program.

Rodzina ks. Lubomirskich znana jest oddawna ze swojej muzykalności. Przed kilkudziesięciu laty bardzo popularnymi były pieśni ks. Kazimierza Lubomirskiego: „Mazurek“, „Gwiazdeczka“, „U nas inaczej.“ Teraz ks. Natalia wznosiła tę tradycję w świetny sposób.

Krytyka fachowa zarzuca „Wskrzeszeniu Łazarza“, iż brak temu dziełu stylu oratoryjnego i nastroju wzniosłego. Nie zapominajmy jednak,

e kompozycya ta powstała pod koniec XIX-go wieku i musi na sobie nosić piętno epoki współczesnej. Przypomnienie Bacha lub Haendla jest nie na miejscu; dzieło posiada religijny nastrój, tylko ten nastrój inaczej się wyraża u ks. Perosięgo, aniżeli u poprzednich twórców oratoryów. Słuchaliśmy też „Wskrzeszenie Łazarza“ ze skupieniem ducha i wyszliśmy z koncertu pod istotnym wrażeniem. Oratorium pod kierunkiem p. Spetriny szło bardzo dobrze, wyróżniły się z całości chóry, rzeczywiście artystycznie śpiewające.

P. Emil Młynarski uczynił z koncertów symfonicznych prawdziwie muzykalne biesiady dla smakoszy muzycznych. Dzielnym naszym dyrektorem doprowadził publiczność warszawską do rozsmakowania się w poważnych produkcjach. I to zajęcie się muzyką seryo wzrasta w nas ciągle. Należy się za to p. Młynarskiemu szczerze uznać. Słusznie powiada prof. Stattler: „Jeżeli się zważy, ile zachodu, trudu, rozmaitych przeszkód spotyka się zwykle w tego rodzaju zajęciu, jak przytem mało odczuwa się życzliwości i zachęty ze strony dość obojętnego społeczeństwa, które nie dorosło jeszcze do poziomu, na jakim kwitnie upodobanie do muzyki zbiorowej, — to nie można nie przyznać, że prócz wielkiego zamiłowania i wielki zasób wytrwałości trzeba posiadać, by w pracy nie stanąć i nie zniechęcić się u progu tej pięknej, lecz niewdzięcznej kariery.“ Dyrektor Młynarski ma to wytrwanie — i pracy nie przerwie, dopóki wyników jej szczytnych nie osiągnie.

Takim szczyblem do osiągnięcia szczytu było wystawienie „Sonetów Krymskich“ Moniuszki. Za to wystawienie — wdzięczność żywymy względem p. Młynarskiego. Najlepiej się powiódł ósmy sonet „Pielgrzym“, który musiano powtórzyć. Orkiestra na piątym koncercie symfonicznym odegrała „Symfonię“ C-dur Mozarta; nadto młodziutki skrzypek, uczeń p. Młynarskiego, Pawełek Kochański, wykonał koncert E-mol Mendelsohna. Jest to genialny chłopiec! Jak on grał! Ma zapal i werwę wytrawnego artysty — a ton, zrozumienie rzeczy wprost bajeczne! Wielki z niego być powinien skrzypek.

Przed paru tygodniami odbył się w salach re-dutowych koncert beneficjowy dzielnego dyrektora „Lutni“, p. Piotra Maszyńskiego. Kto nie zna tego sympatycznego kierownika drużyny śpiewaczej i zacnego człowieka? Kto nie składa rąk do okłasku, kiedy „Lutnia“ staje na estradzie? Świetny dyrektor i utalentowany kompozytor pracuje wytrwale i skutecznie. Kompetentne pióro Noskowskiego tak określa pewną stronę zasług Maszyńskiego: Układa on ballady Moniuszki na chóry i sola, uprzystępniając tym sposobem wykonywanie tych cudownych utworów na koncertach. Moniuszko natchnienie swe zamykał w ciasnych ramach, nie licząc się z warunkami przyrodzonymi głosu ludzkiego, oraz zapominając, że długa ballada, wykonana przy towarzyszeniu fortepianu przez jednego śpiewaka, nużyć musi jednostajnością i nie pozwala nawet zachwycić się słiznami szczegółami. Otóż p. Maszyński, wpadłszy na myśl zamienienia tych ballad solowych na kantaty, wzbogacił ubogą w dzieła podobne literaturę naszą o kilka istotnych klejnotów, a zrobił to tak dobrze, że na wysokie za to zasługuje uznanie. Tak wykonał „Powrót Taty“, balladę Moniuszki; nie tu nie zatracono z piękności i szczegółów charakterystycznych nieśmiertelnego pieśniarza — tem większa tu zasługa p. Maszyńskiego, „Lutnia“ zaś coraz strojniej i coraz artystyczniej wypo-wiada się w pieśni.

W Teatrze Wielkim wznowiono dawno nie-śpiewanego „Roberta Dyabła“ Meyerbeera, ową słynną operę twórcy „Hugonotów“, pełną ślicznych melodyj i efektownych czynników, jakkolwiek trochę już przestarzałych. Zwłaszcza libretto wygląda naiwnie i jest niewytłomaczone w wielu szczegółach. Pomimo to wywiera wrażenie, bo drga w „Robercie“ werwa, a arye dostarczają artystom szerokiego pola do popisu. Wybornie wywiązały się z zadania pp. Kruszelnicka i Korolewiczówna. W tytułowej partyi wystąpił p. Russitano, panowało jednak nad nim wspomnienie niezapomnianego u nas Roberta, Władysława Mierzwinskigo. Wznowienie uskuteczniło starannie, a balet z p. Rogińską na czele wykonał „scenę uwodzenia“ bardzo efektownie.

Benefisowe przedstawienie p. Kruszelnickiej, tryumfatorsezonu, wypadło świetnie. Dawano „Halke“, a wytworną i serdeczną w interpretacji artystkę spotkała wyjątkowego zapalu owacya. P. Kruszelnicka na taki benefis zasłużyła najzupełniej.

A. Dobrowolski

Kronika działalności kobiecej.

— Pani Seweryna Duchńska, sympatyczna jubilatka poezji naszej i znakomita tłumaczka utworów literatury obcych, wydała obecnie duży tom swoich przekładów z francuzkiego pod tytułem: „Antologia poezji francuzkiej XIX-go wieku.“ Najwięcej tutaj utworów Wiktora Hugo, dalej Franciszka Coppégo, J. Breton'a, A. Delpit'a, p. Baaville'a, W. Laprade'a, C. Mendez'a i mnóstwa innych. Na zakończenie książki dała p. Duchńska tłumaczenia z poetów prowansalskich, jak: Jasmin'a, Roumenille'a, Aubanel'a i Mistral'a. Autorka nie dotknęła wcale swem trzeźwym piórem najnowszej grupy poetów francuzkich, symbolistów, dekadentów i t. p. i nawet trudnoby sobie wyobrazić, jakby dosadne jej pióro upodobanie znaleźć mogło w tych mgłach, symbolach i przenosiach nowej szkoły poetycznej. Książka pani Duchńskiej może służyć jako doskonały podręcznik dla dorosłej młodzieży przy wykładach z literatury francuzkiej, a zaleca ją jeszcze ten piękny polski wiersz, który jest cechą pióra szanownej jubilatki.

— Na tymże uniwersytecie pracujące kobiety przystąpiły do asekuracji od nieszczęśliwych wypadków, mogących się wydarzyć w obrębie uniwersytetu przy sekcjach, chemicznych doświadczeniach i t. p. badaniach naukowych, przy których zdrowie lub życie narażonem być może. Jest to przezorność bardzo roztropna, bo przy najściślejszych ostrożnościach, często jednak się przytrafiają niebezpieczne zacięcia, zakażenia lub oparzenia, przerywające naukę i opóźniające bieg studyów.

— Pani dr. med. Gizela Kühn, która swe studia lekarskie ukończyła w Zurychu, a od Czerwca 1898 roku praktykowała w Remscheid jako doktor przy instytucji kasy chorych, przeniesioną zostanie wkrótce do Baniałuki w Bośni na urząd lekarza okręgowego.

— W Bośni praktykuje od lat wielu już pani D. T. Krajewska i za jej cywilizacyjnym wpły-

wem mahometanki tamtejsze coraz częściej zrywają z dawnym zabobonnym strachem przed wiedzą lekarską, a udają się do niej o poradę. W r. 1897 zgłosiło się do p. Krajewskiej 807 pacjentek. Większość cierpiała na choroby wewnętrzne (582), choroby zewnętrzne liczyły 26 wypadków, cierpień skóry 25, oczów i uszów, specjalnych dolegliwości 111, chirurgicznych przypadków 62. Widzimy z tego wykazu, że p. Krajewska rozporządzać musi szeroką specjalnością i pracować równocześnie nad licznymi gałęziami medycyny. Ludność tamtejsza przejęła się już wdzięcznością dla swej życzliwej lekarki i coraz częściej śpieszy do niej po ratunek fizyczny, a nieraz i moralny.

— Pani Salomea Chwatowa, inicjatorka nowego u nas stowarzyszenia „Przyjaciół dzieci“, która ma za cel nieść ulgę biednym dręczonym przez ich otoczenie dzieciom i zapewnić im szczęśliwy rozwój duszy i zdrowia, podała tę samą myśl gronu dobrze myślących kobiet w Berlinie, gdzie dotychczas nie było jeszcze podobnego towarzystwa opieki nad nieszczęśliwymi dziećmi. Myśl się przyjęła, i już czynią się tam szybkie starania w celu zebrania odpowiednich funduszy, jakich towarzystwo potrzebować będzie. Zaznaczyć tu trzeba, że oto przecie nie zawsze my tylko bierzemy przykłady z zagranicy, lecz że i tam przez nas zaniezione dobre ziarno przyjmuje się i dobre wróży plony.

Komitet Zarządzający kasą pomocy

dla osób pracujących na polu naukowem
imienia dra J. Mianowskiego.

Ma zaszczyt do powszechnej podać wiadomości, iż zmarły dnia 9 Listopada 1891 r. Władysław Pełowski, uczynił Kasę Pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie władzy rządowej uzyskała, Komitet Zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyluszczonej określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy Pomocy w Warszawie, przy ulicy Niecałej N 7, lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyluszczonych na piśmie.

Prezes Komitetu H. Struwe.
Członek Komitetu Sekretarz Feliks Kucharzewski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 3-ci powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

Treść: Z cyklu: pieśni i skargi, przez Zdzisława Dębickiego. — Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. VI. — Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Dziką kaczką, przez Kazimierza Glińskiego. — Odczyty. V., przez Wł. Bukowińskiego. — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkusz 3-ci. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem, Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою. — Варшава, 21 Апрѣля 1899 г.

Przegląd Mód.

Modele kapeluszy w magazynie p. A. Suskiej. — Materiały letnie w magazynie p. Ed. Makoswkiego.

Sezon wiosenny za kilka dni otworzy się na dobre; znać to po zdwojonym ruchu w sklepach i po nawale pracy w większych naszych magazynach. To też chociaż 1-szy Maj zawitał do nas w dzień jesiennego nieomal chłodu, to jednak wiele już letnich kapeluszy widzieć się daje na ulicy.

Prześliczne modele letnich kapeluszy przywiozła z Paryża pani A. Suska (Wierzbowa 6), które dzięki jej uprzejmości obejrzawszy, możemy opisać łaskawym naszym czytelnikom. Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, iż tegoroczne modele kapeluszy są znacznie mniejsze od zeszłorocznych, natomiast są bardzo i bogato przybierane. Do tego też trzeba bardzo zręcznej ręki i wytrawnego gustu, aby tak rozliczne przybrania umieć stosownie rozmieścić na małym kapeluszu i stworzyć arcydzieło gustu, a nie śmieszne jakieś czupiradła, jakie widnieją w niejednym oknie wystawowym.

Ze pani Suska umie się ze swego zadania wywiązać, wiedzą dobrze o tem nasze panie. Jej wyrobiony smak, dystynkcyja i właściwe pojęcie gustu i potrzeb naszych warszawianek, stały się przysłowiove i dzięki temu jej kapelusze mają ogromne zapotrzebowanie.

Tegoroczne kapelusze są prawie wszystkie noszone z czoła. Szczególniej fason ten daje się zastosować do kapeluszy strojnniejszych, a tylko do sukien spacerowych, lub ranne negliżowe noszone są na czoło. Opisanie kilku najpiękniejszych modeli da najlepsze pojęcie o rzeczy.

Kapelusz duży „bergère“ z florenckiej naturalnej słomki. Rondo naszyte czarną koronkową wstawką. Przybranie stanowią dwa duże, żółte strusie pióra i kokarda z czarnej, koronkowej wstawki. Bok podpięty dużą „choux“ z szerokiej, żółtej, fantazyjnej wstążki i długimi szarfami, przeznaczonemi do wiązania. Fason ten upięty fantazyjnie, jest iscie wspaniałym modelem strojnego przybrania głowy.

Kapelusz z czarnego bastu, duży, fantazyjny, ubrany wieniec róż, pokrytych kremową koronką d'Alençon. Bok podpięty czarną, aksamitną „choux.“ Na przodzie wspaniała egreta z rajszych piór, rzucona na dwie strony.

Kapelusz okrągły z jedwabnej lila słomki, także do większych należący. Rondo naszyte małemi riuszkami z lila jedwabnej gazy. Główka otoczona powojami lila, na przodzie duża kokarda z mienionej zielono-niebieskiej taffetas glacée, spięta złotą agraftką. Bok podpięty powojami i kokardą.

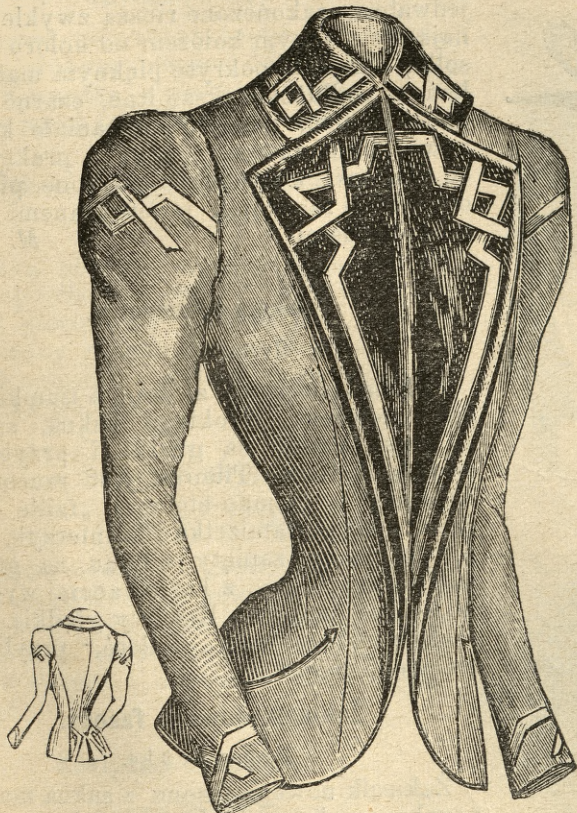
Beret fantazyjny. Główka z czarnej słomki, rondo z białej illuzji, przewiniętej tresą z czarnej słomki „pailleté.“ Z boku dwa czarne fantazyjne pióra pailleté, dopełniają nader oryginalnej całości.

Bolero z szafirowej słomki. Główka narzucona szafirową jaśniejszą gazą; bok podpięty węzłem z gazy i gałązką purpurowych czereśni.

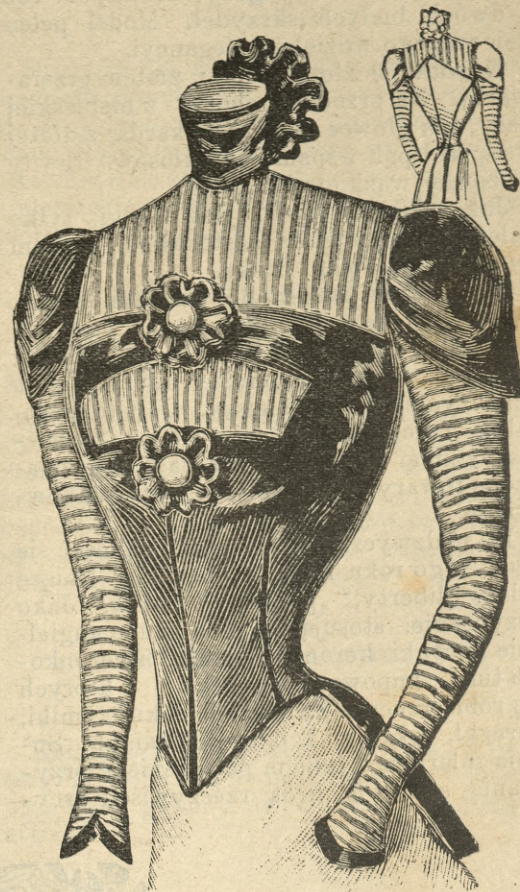
Tok z czarnego bastu. Główka lekko splisowana zieloną, jedwabną gazą. Z boku węzeł z gazy, z podwiniętem orlem piórem, ręcznie malowanym.



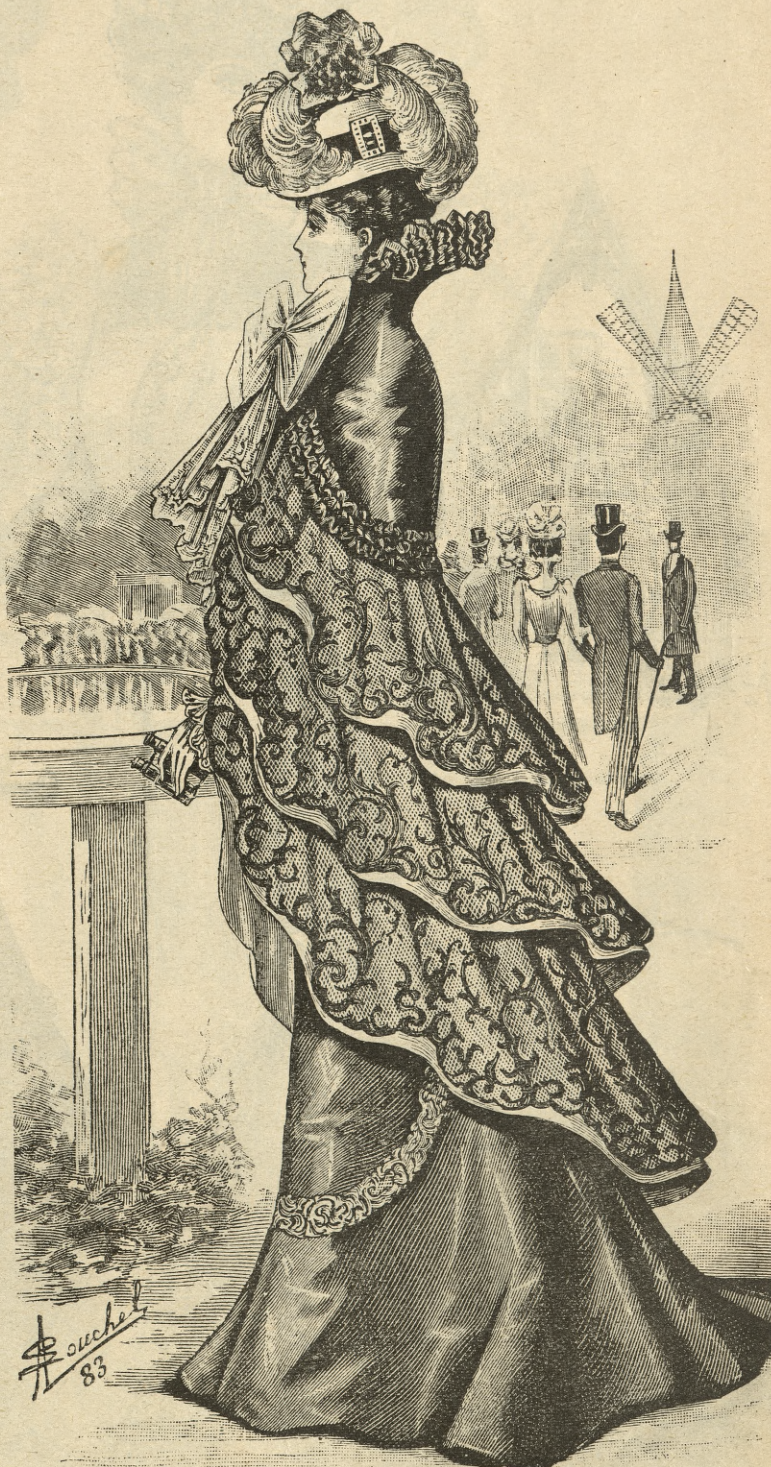
Nr 1 i 2. Suknia spacerowa (przód i plecy).



Nr 3 i 4. Żakietik nowego fasonu (przód i plecy).



Nr 5 i 6 Stanik fantazyjny (przód i plecy).



Nr 7. Okrycie do powozu.

Kapelusz dla młodej panienki z białego bastu. Główka i obszycie ronda czarne; przybranie z białej gazy, drobnych róż i dwóch białych skrzydeł. Model pelen dziewczęcego wdzięku i elegancji.

Kapotka ze złotej słomki, złotem przera-bianej. Na przodzie „choux“ z niebieskiej gazy, na główce ułożona kokarda z żółtej wstążki i pęk wspaniałych kłosów. Brydy z czarnej wąskiej aksamitki.

Jak widzimy wybór jest wielki, tylko należy go umiejętnie zastosować, w czym właśnie celuje pani Suska.

Prześliczne materyały na letni sezon. sprowadził pan Ed. Makowski. Jest ich tak wielki wybór i tak ładnych, że jesteśmy w prawdziwym ambarasie, który z nich oznaczyć za najpiękniejszy. Jest to naturalnie rzecz gustu i nim się też przedewszystkiem zawsze odznaczają nagromadzone towary w magazynie pana Makowskiego.

Do nadzwyczajnie modnych zaliczać się będą tego roku fulary francuskie, lśniące tulary „liberty“, „pongé“ i „croisés“. Jako przybranie, stosują do nich grube angielskie koronki, koronki „luxcille“ i koronkowe tiule, kupowane na łokcie, z których się robią rzucone na wierzch sukni tiuniki, karczki, rękawy i t. p. części stanika. Suknie fularowe z takim połączeniem przybrania stanowić będą rzeczywiście arcy-

dziela estetycznego smaku. Obok fularów trzymają się śliczne taffetas paskowane „cameleon“.

Z materyałów na również strojniesze suknie przeznaczonych, są prześliczne półjedwabne „fleurs de velours“ i trianglerine, czysto-wełniane woale gładkie, lub w wypukłe białe, lub kolorowe groszki narzucone. Ładny jest także w jasnych kolorach „toile de laine“, lub woale w drobną białą kratkę, rzuconą na tle jasnym, kolorowym.

Na reuniony u wód i na wszelkie większe zabawy, czy uroczystości, są prześliczne suknie pailleté, dalej suknie tiulowe białe lub czarne, prześlicznie grubo haftowane, wykonane na stosownie dobranym transparentie jedwabnym, kolorowym. Dalej garnitury koronkowe, złożone z małej tiuniki „une pointe“ z przodów i rękawów.

Dalej idą w nadzwyczajnie wielkim wyborze czarne, wełniane, półjedwabne i jedwabne grenadyny paskowane w lśniący, lub aksamitny rzucik, czarne, jedwabne gazy, narzucone drobnym, wypukłym groszkiem, oraz suknie odpasowane, w piękny deseń haftowane.

Na suknie skromniejsze, lub kostiumy spacerowe, są piękne, fantazyjne, czysto wełniane materyały w mniejsze, lub większe paski, zawsze modne angielskie, cienkie i grubsze alpagi czarne i różno-koloro-



Nr 8 i 9. Peleryna (przód i plecy).



Nr 10 i 11. Suknia z popielatego kaszmiru.

we, wreszcie na kostiumy do wód, lub do podróży, zawsze ładne, dystygowane i praktyczne: „covert coats“ i „melangés“ i „lawn tennis“.

Obok tych materyałów, na dnie upalne lata, przeznacza moda piękne angielskie zefiry w paski, w kratę, lub kratę szkocką, piki grubo prążkowane w jednym kolorze, lub w grochy narzucone. Powiewne białe, musliny à pois, bawełniane batysty écru à jour, bardzo ładne i modne; wreszcie najrozmaitsze odmiany przejrzystych „organdies“, w bogate desenie „pompadour“, rzuconych na poprzecznych paskach lub kratkach, lub deseniowane w rzut drobniejszy, jako na skromniejsze suknie przeznaczonych.

Podstawą tegosezonowych przybrań są koronki i tych jest wielki wybór, który można zaraz zastosować do kupionej sukni. Dalej idą piękne fantazyjne guziki i kłamry w stylu Cyrano de Bérgerac, lub naśladowujące stare monety. Są też prześliczne i bardzo efektowne kłamry brylantowe.

Widziałam też u p. Makowskiego prześliczne w nowym zupełnie guście parasolki. Jedne z nich białe lub kolorowe, morowe z rączkami o kryształowych gąłkach; drugie wykonane z „satin liberty“ deseniowane. Dalej wspaniałe strojne parasolki jedwabne, zakończone riaszą zwykle odcinającą się innym kolorem od koloru parasolki; parasolki pokryte pięknym materyałem w podłużne, aksamitne, czarne pasy na tle jasnym, parasolki wspaniałe koronkowe, oraz zawsze modne i praktyczne en tous cas, wszystkie opatrzone pięknie dobranymi rączkami, przewiązanymi sute-mi kokardami.

M. Ch.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 1 i 2.

Suknia spacerowa, złożona z tiuniki z jasno-zielonego, cienkiego sukna, spiętej z lewej strony na guziki i przybranej wokół haftem. Tiunika jest rzucona na spódnicę w ciemno-zielonej „faille française“ i takąż kamizelka i kołnierzyk. Stanik sukienny, zapięty z boku na guziki, haftem przybrany, z haftowanymi wylogami z białej materyi. Rękawy gładkie. Toczyk z białego tiulu „pailleté“, przybrany zielonymi piórami.

Żakiecik nowego fasonu.

Rycina Nr 3 i 4.

Żakiecik nowego fasonu z sukna mastic, przybrany pliskami z białego galonu. Kołnierzyk wykładany, szerokie wylogi i patki z tyłu z brązowego aksamitu.



Nr 12 i 13. Peleryna strojna (przód i plecy).

Stanik fantazyjny.

Rycina Nr 5 i 6.

Stanik fantazyjny z zielonej bengaliny. Przód zakończony bawetem. Plecy dłuższe z frakowymi połami. Szmizetka z plisowanego, jedwabnego, różowego tiulu. Rękawy z muslinu, poprzecznie plisowanego, przybrane w górze epoletkami z bengaliny. Kołnierzyk i „choux” z bengaliny.

Okrycie do powozu.

Rycina Nr 7.

Okrycie do powozu w formie mantyli z 1840 roku, z jedwabnej materii „gros grin” koloru „mauve.” Falbany z białej materii, pokryte czarną koronką „chantilly,” górna falbana zakończona potrójną riaszą z materii. Kołnierz wysoki, podszyty riaszą. Krawatka z białego jedwabnego muslinu. Rękawiczki glansowane białe. Kapelusz z białej słomki, przybrany fiolkami.

Peleryna.

Rycina Nr 8 i 9.

Peleryna ze srebrno-popielatego sukna, naszyta grubym sutaszem. Kołnierzyk wysoki. Krawatka z czarnego atlasu. Podszewka jasno-popielata.

Suknia z popielatego kaszmiru.

Rycina Nr 10 i 11.

Tiunika obeisła, rzucona na kloszowej spódnicy. Stanik „bolero” na jasnej, jedwabnej podszewce, z której jest również udrapowany pasek. Plecy bez szwu. Kołnierzyk aksamitny koloru „bleu lavande.” Krawatka tiulowa.

Peleryna strojna.

Rycina Nr 12 i 13.

Peleryna strojna, z greckiego, czarnego, haftowanego tiulu, na kolorowym, jedwabnym spodzie. Falbana z czarnego, plisowanego tiulu, objęta małą riaszką. Kołnierzyk wysoki i krawatka z plisowanego muslinu.

Kostiumy spacerowe.

Rycina Nr 14 i 15.

Nr 14. Kostium z popielatego sukna, przybrany ciemno-niebieskim aksamitem.

Stanik gładki, obeisły, z wyłogami i stojącym kołnierzykiem, z przodu krótki, w tyle baskina okrągła, długa. Plastron z białej, poprzecznie plisowanej materii. Toczyk z ciemno-niebieskiej słomki, przybrany piórami. Parasolka z białego, jedwabnego muslinu. Rękawiczki glansowane białe.

Nr 15. Kostium z piaskowego sukna, cztery razy przestebnowany. Stanik obeisły, długi, z okrągłą baskiną, z boku na guziki zapinany. Wyłogi szalowe. Szmizetka z blade-różowego, jedwabnego muslinu. Kapelusz ze złotej słomki, przybrany blade-różowymi różami i białym jedwabnym muslinem.

Pół-długa peleryna dla starszej osoby.

Rycina Nr 16 i 17.

Pół-długa peleryna z czarnego atlasu dla starszej osoby. Przody wydłużone tak samo, jak i plecy i upięte do okrągłego karczka, pokrytego czarnym, jedwabnym, marszczonym muslinem. Falbana plisowana z czarnego muslinu, objętego wążką, atlasową wstążeczką. Na ramionach i przodach motywy z dzetowej pasmanterii. Długie pukle z wstążki tworzą zakończenie pierwszej górnej falbany.

Sukienka dla dziewczynki.

Rycina Nr 18.

Sukienka dla dziewczynki z niebieskiego szewiotu. Stanik i spódniczka z boku zapięte, przybrane galonem z kremowego galonu. Kołnierzyk i szmizetka z białego sukna. Kotwice złotem haftowane. Kapelusz z niebieskiej, angielskiej słomki, przybrany piórkiem i wstążką granatową z białem.

Sukienka dla dziewczynki.

Rycina Nr 19.

Suknia dla dziewczynki ze stanikiem i spódniczką bluzkową, z boku na złote guziki zapiętą, z jasno-popielatej materii. Stanik wycięty, z karczkiem z gipiury kremowego koloru. Pliski ze stanika i spódnicy z białego atlasu. Rękawy obeisłe. Pasek z białej, atlasowej wstążki, na długie końce z tyłu związanej.

Kołnierzyk i krawatka.

Rycina Nr 20.

Kołnierzyk wykładany i krawatka z materii żółtej w czarne paski, naszyte wstawką z białej gipiury, na podłożeniu z żółtego atlasu.



Nr 14 i 15. Kostiumy spacerowe.

Kostyum dla panienki.

Rycina Nr 21.

Kostyum dla panienki z niebieskiej, jasnej wełny, z gładką spódniczką i stanikiem bluzkowym, naszytym gipiurą wstawką. Karczerek z gipiury, objętej falbanką z wełny tej samej, co sukienka. Rękawy gładkie, pokryte gipiurą. Pasek związany z boku z ciemnoniebieskiego aksamitu.

Przepisy gospodarskie.

SOK FIJOŁKOWY.

Nazbierawszy fijołków obrać listki, postrzygać zielone końce, włożyć w naczynie cynkowe, utłoczyć i gorącą wodą sparzyć tyle jej nalawszy, żeby się całkiem kwiat zakrył. Do kwarty kwiatu, dwie cytryny wcisnąć i na drugi dzień sok przez czyste płótno przecedzić. Gdy już będzie kwarta soku, wlać go w rondel, dodać dwa funty cukru i gotować, póki nie będzie czysty. Szumować dobrze i na gorącą jeszcze, pomału lać do butelki, żeby nie pękła i nie zatykać, aż nazajutrz, żeby sok dobrze wystygł.



BUDYŃ Z SERA.

Funt świeżego sera utrzeć na tarce, dodać łyżkę masła, kwaterkę śmietanki, pięć żółtek ubitych z cukrem, ówierć funta rodzynków i pianę od żółtek pozostałą. Wszystko to wymieszać, dodawszy wanilii dla zapachu, włożyć w serwetę masłem wysmarowaną, zawiązać, włożyć w gorącą wodę i gotować godzinę pod przykryciem. Podać oblane klarownym masłem.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa z ryżem.
2. Paszteciki we francuskim cieście.
3. Jesiotr w śmietanie.
4. Ozór na szaro.
5. Polędwica z rożna.
6. Krem ze słodkiej śmietanki z konfiturami.

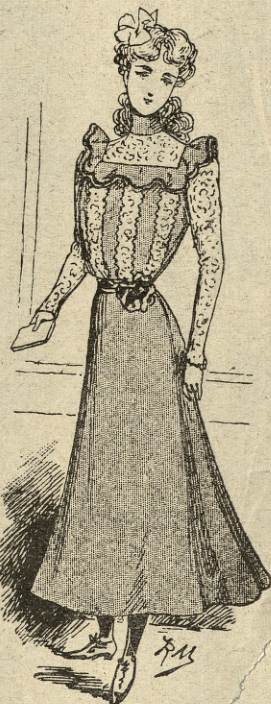
U W A G A.

Tablica krojów dołączoną będzie do przyszłego numeru „Bluszczu.”

Nr 16 i 17. Pół-długa peleryna dla starszej osoby.



Nr 20. Kołnierzyk i krawatka.



Nr 21. Kostyum dla panienki.



Nr 19. Sukienka dla dziewczynki.



Nr 18. Sukienka dla dziewczynki.